Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 14 (1802) • 4–10 kwietnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIEPRZYJEMNOŚĆ

Ilust.: KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 697f4c9371

WOJNA DOMOWA

Mamy tezę: Sławomir Mentzen wcale nie chce się znaleźć w drugiej turze. Dlatego postanowił zniechęcić do siebie młodzież, która stanowi gros jego potencjalnego elektoratu. Pod adresem wszystkich szczawiów wygłosił komentarz, że studia powinny być płatne, bez wyjątku, a potem jeszcze szczególną uwagę poświęcił młodym kobietom, którym polecił rodzić dziecko gwałciciela, „nawet jeżeli to dziecko wiąże się z jakąś nieprzyjemnością". Dobra rada: Sławek – nie chcesz, nie startuj. To całkiem jak z przerywaniem ciąży – jak jesteś przeciwko aborcji, to jej sobie nie rób.

Pierwsza z najnowszych enuncjacji Mentzena wyraźnie wystawiła piłeczkę Karolowi Nawrockiemu, który już z tuzin razy na różnych wiecach ogłosił, że gdyby studia były płatne, „nie stałbym przed państwem jako doktor nauk humanistycznych", bo nie byłoby go na to stać. Mamy w tej sprawie dwie refleksje. Pierwsza brzmi – żeby zacytować klasyka – „moze by nie było źle", zważywszy na rzetelność naukową i warsztat historyka prezentowane przez dr. Nawrockiego. Druga: czołowy oberpolicmajster pamięci nawet nie wie, że chwali w ten sposób Polskę Ludową – bezpłatne studia wpisane do konstytucji to niewątpliwy „złóg Peerelu". Ale nie szkodzi; Polska Ludowa też nie wie, że przyłożyła rękę do awansu społecznego swego zawodowego oszczercy.

Michał Kamiński poszedł do Tefałenu i wygłosił (niepozbawioną logiki) analizę sytuacji politycznej oczami spin doktora: „Intuicja mi podpowiada, że faworytem wyborów jest Nawrocki, bo jeśli druga tura będzie skonstruowana wokół umownego referendum: za czy przeciw rządowi, to los Trzaskowskiego jest godny pożałowania, bo rząd jest dzisiaj niepopularny i bardzo trudno będzie zbudować wokół takiej osi strategię zwycięstwa".

Trzaskowski chyba też zaczyna się łapać w sytuacji, bo przejawia drobne oznaki niezależności. Po tym, jak PiS ogłosiło marsz w tysiąclecie koronacji Chrobrego, premier zaripostował: „Najlepszą odpowiedzią na kwietniowy marsz PiS będzie wielki majowy marsz patriotów. Jesteśmy umówieni? Niedziela, 11 maja, Warszawa, w samo południe". Okazało się, że nie był umówiony nawet z własnym kandydatem, który dwa dni później poinformował, że marsz będzie jednak 25 maja, czyli już po pierwszej turze. „Wsłuchuję się w głosy moich kolegów i koleżanek" – wyjaśnił Trzaskowski. Nie dodał: „W odróżnieniu od Tuska" – ale i nie musiał. Dodał za to twardo, że ma „bardzo dobrą relację" zarówno z Donaldem, jak i „kolegami i koleżankami" – ale „to mój sztab organizuje kampanię i my wyznaczamy kierunki".

Ryszard Cyba, odsiadujący dożywocie za zastrzelenie w 2010 r. pracownika biura poselskiego PiS, pod koniec marca został przewieziony z pierdla do domu pomocy społecznej, a potem do psychiatryka. Jak twierdzą psychiatrzy – i nikt tego nie podważa – Cyba cierpi na totalne otępienie i całkowity brak kontaktu, więc nie nadaje się do odbywania kary, a także nie rozumie jej powodu i sensu. Jarosław Kaczyński ogłosił, że platformersom chodzi o to, by „wywołać coraz większą obawę", ale on się nie przestraszy, „może nawet zaostrzy ton". Zważywszy, że prezesa nadal ochraniają byli komandosi z GROM-u, fakt, że nie boi się faceta, który robi pod siebie, nie jest przejawem przesadnej brawury.

Znacznie większej odwagi – głównie ze względu na dysproporcję wzrostu – wymagało wtargnięcie Kaczyńskiego na trybunę sejmową i próba zepchnięcia z niej Romana Giertycha chwilę po nazwaniu go „głównym sadystą", który „znęcał się nad Anną W.". Nawiasem mówiąc, wpis Giertycha na Twitterze – „Gdyby ona była tak mądra jak dyrektor Tomasz Mraz, to dzisiaj mielibyśmy wniosek o uchylenie immunitetu prawdziwego beneficjenta, a ona zajmowałaby się synem" – sadyzmu może nie dowodzi, ale bezmyślności płynącej z bezkarności na pewno. Mecenas Giertych przyznał wprost, że władza trzyma Annę W. w areszcie wydobywczym. Nie żeby to była dla kogoś nowość – może z wyjątkiem byłego rzecznika praw obywatelskich prof. Adama Bodnara.

Sąd Okręgowy w Warszawie odrzucił wniosek komisji Sroki o aresztowanie Ziobry. Komisja – przypomnijmy – spieprzyła w podskokach, kiedy Ziobro, doprowadzony na przesłuchanie, był już w budynku, bo się obraziła, że ją lekceważy i poszedł najpierw do Telewizji Republika. To było prawie oficjalne uzasadnienie: „Skończyły się czasy, kiedy to Zbigniew Ziobro pisał scenariusze". Zupełnie oficjalne było takie, że komisja pod kierownictwem byłej policjantki nie wiedziała, że Ziobro jest w sali obok w rękach straży marszałkowskiej – co ją wyróżnia, bo wiedziała o tym cała Polska. „Oczywiście można dzisiaj analizować każdą minutę, ja natomiast prowadząc komisję, nie patrzyłam w telefon, jeżeli coś widziałam, to ilość informacji, powiadomień, które do mnie wpływały, natomiast nie miałam informacji oficjalnej, że pan Ziobro jedzie do budynku, że jest zatrzymany". Jak celnie zauważył Joe Biden w tej debacie z Trumpem, w której jeszcze nie był zupełnym dementem – czyli w roku 2020 – aby rządzić krajem, trzeba „umieć iść i żuć gumę jednocześnie". Aby prowadzić śledztwo, tym bardziej.

Zafrapowała nas publikacja „Gazety Wyborczej" na temat wycofania się Polski z konwencji ottawskiej. „GW" przeprowadziła wywiad z osobą przedstawioną jako „dr Aleksandra Kuczyńska-Żonik, analityczka w Zespole Bałtyckim w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie, badaczka na KUL" (na badaczy z katolickich uniwersytetów zawsze można liczyć, kiedy trzeba uzasadnić jakieś bestialstwo). Dowiedzieliśmy się z niego, że „miny obecnie produkowane są już nowocześniejsze", więc „ich unieszkodliwianie", gdy przestaną być potrzebne, „jest dużo łatwiejsze", ale jednak „musimy zapytać, co będziemy robić, jeżeli rosyjskie wojsko na nasze terytorium wkroczy?". „Badaczka na KUL" mówi „to nie jako straszenie nas wojną, a szukanie alternatyw: co zrobić, jeśli Rosjanie zaatakują nasz kraj i wejdą do niego siłą". Tytuł rozmowy: „Nie mają zabijać, a ranić. Polskie »tak« dla min przeciwpiechotnych. Już humanitarne?". Prosta odpowiedź brzmi: nie.

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Marzec 2013 r.

Świętej Klementyny

PiS ciałami swoich bojówkarzy i krzykami swoich posłów nieskutecznie przeciwdziałało mianowaniu ministra Arabskiego ambasadorem w Hiszpanii, ponieważ spowodował on wybuchy powodujące śmierć Lecha Kaczyńskiego. PiS widocznie woli, żeby Arabski nadal szarogęsił się w kancelarii premiera, powodując kolejne wybuchy samolotów wiozących pozostałych Kaczyńskich.

Ta część religii Macierewicza, która nie jest fałszem, również stanowi nieprawdę. On i jego wyznawcy uważają, że przed katastrofą można było przewidzieć to wszystko, co wykryto po katastrofie. Gdyby to było możliwe, na świecie nie zdarzałyby się żadne katastrofy ani wojny.

Świętej Lei

Ewa Wójciak, szefowa Teatru Ósmego Dnia, nazwała papieża Franciszka chujem, podejrzewając go o to, że wraz z episkopatem argentyńskim popierał juntę faszystowskich morderców katolickich. Za szczerość i prawdomówność grozi jej obcięcie subwencji dla teatru.

Publiczne pieniądze daje się teatrom dla dobra widzów, a nie dyrektorki. Czemuż ich karać za to, że pani Wójciak ma złe, bo antyfaszystowskie (fuj!) poglądy? Przecież przypuszczalnego poplecznika prozbrodniczego episkopatu Argentyny porównuje do najbardziej lubianej przez kobiety części mężczyzny.

Świętego Wiktoriana

Platforma Oburzonych chce rządzenia poprzez referenda urządzane wyłącznie na podstawie zebranych podpisów, a bez decyzji parlamentu o ich rozpisaniu. Przypuszczalne tematy:

– Czy chcesz obniżki podatków?

– Czy chcesz podwyżki płac?

– Czy chcesz skrócenia wieku emerytalnego?

– Czy chcesz etatów dla wszystkich zatrudnionych, np. hydraulików, dekarzy, kominiarzy?

– Czy chcesz państwowej pensji dla matek wychowujących dzieci?

– Czy chcesz darmowych mieszkań dla ludzi, których nie stać na ich kupno?

– Czy pracodawcy mają pracownikom finansować wyjazdy na urlop?

– Czy chcesz wódki i piwa w kranach?

Itp.

Platforma Oburzonych ma 100 proc. szans na wygranie wszystkich referendów, bo oburzenie zastępuje myślenie oraz liczenie. Dlatego właśnie nic mnie nie oburza.

Niedziela Palmowata

Robią największy w świecie pomnik Jana Pawła II w kolorze bałwana. Polska pobiła stalinowskie rekordy liczby pomników. Teraz lepi się giganta – King Konga katolicyzmu. Watykaniści zapowiadają awansowanie jesienią zwłok Wojtyły na świętego. Znaleziono przypadek osoby, która twierdzi, że się do niego modliła i wyzdrowiała. 70 lekarzy nie potrafiło zaś znaleźć innego powodu wyzdrowienia.

Sprzeczne z doświadczeniami medycyny samowyzdrowienia zdarzają się, chociaż rzadko. Niektóre organizmy ludzkie skutecznie chronią przed lekarzami swoje tajemnice. Są więc nierozpoznawalne zgony i wyzdrowienia. Gdyby Wojtyła jako cudotwórca umiał być przekonujący, spowodowałby np. odrośnięcie nogi uciętej przy świadkach przez chirurgów. Cóż to za trudność dla świętego?

Świętej Larissy

Janusz Palikot zaproponował czynne prawo wyborcze od 16. roku życia i został przedwcześnie wyśmiany z własnej winy. Wystrzelił nagle, wąsko i bez przygotowanej argumentacji.

Sądzę, że byłoby trafne przyznanie 16-latkom wszystkich praw obywatelskich z wyjątkiem biernego prawa wyborczego (nie mogliby zostawać posłami, głowami gmin i państwa). Argumenty: życie ludzi się wydłuża. Bez skrócenia dzieciństwa grozi nam gerontokracja. Długotrwałe studia i trudności w debiutowaniu na rynku pracy wydłużają zależność od rodziców, niesamodzielność do 25. roku życia. Cechą podrostków jest dziecięca nieodpowiedzialność i bierność, niesterowanie życiem. Dzieciństwo warto więc skracać, a nie je wydłużać. Szkoda prawie ćwierci życia na przygotowywanie do życia.

Pomysł Palikota, żeby 16-latkom dać prawo wybierania politycznych reprezentantów, jest dobry dlatego także, że zmieni polityczną reprezentację społeczeństwa. Ale wymaga szerszej koncepcji skracania dzieciństwa, przyspieszania dorosłości.

Świętego Habiba

Odbyłem konferencję z bankowcami. W Polsce i w całej Europie posiadacze luźnego kapitału lokują go w pakiety obligacji wielu naraz najpewniejszych przedsiębiorstw obserwowanych przez banki i w zależności od standingu wymienianych w pakiecie. Jest to lokowanie bezpieczne przynoszące dochód umiarkowany, lecz wyższy niż lokata bankowa. Mój wniosek: ta skłonność, jeśli będzie długofalowa, trwale zdegraduje gospodarczo Europę. Postęp sprawiają przedsięwzięcia innowacyjne, ekonomicznie ryzykowne. Niezasilane pieniędzmi zwiędną w zarodku.

Wysłuchałem znakomitego, przekonującego przemówienia Donalda Tuska na zebraniu sfer kierowniczych PO minus Gowin. Premier mówił, że jego partia ma być platformą zgodnego, aideologicznego, pragmatycznego współdziałania konserwatystów i liberałów na rzecz ostrożnej polityki centrowej i modernizacyjnej. Rozwiązania na rzecz kwestii światopoglądowo spornych będzie popierać wówczas, gdy większość społeczeństwa dojrzeje, np. do związków partnerskich czy liberalizacji aborcji.

Tusk nie rozumie, że społeczeństwo niewyciągane przez przywódców ze stanu zachowawczego zasklepiania w kwestiach obyczajowych, w poglądach równie niezdolne będzie do modernizacji cywilizacyjnej, a nawet ściśle technologicznej. Przykładem biotechnologia przyszłości w produkcji, medycynie, informatyce. Przekreśla ten postęp m.in. kunktatorstwo w sprawie in vitro. Formuła PO szybko się zestarzeje. Przyszłość należy do Palikota.

Świętego Gotrana

Przeczytałem znakomitą książkę „Piąta Aleja, piąta rano" o tym, jak kręcono film z Audrey Hepburn „Śniadanie u Tiffany'ego" według powieści Trumana Capote. Wobec tego kupiłem sam film, żeby go powtórnie obejrzeć po 60 latach. Żenada. Można więc pisać dobre książki o kręceniu marnych filmów. Andrzejowi Wajdzie już od 30 lat powinna towarzyszyć na planie filmowym grupa zdolnych pisarzy.

Świętej Gwladysy

Wielkimi krokami zbliża się rocznica 75. urodzin red. Daniela Passenta. Rodzina jubilata apeluje do znajomych Passenta, aby zaprzestali zbiórki na Bentleya pomyślanego jako zbiorowy prezent. Red. Passent nie lubi ostentacji.

Ochrona obchodów żąda od zapraszanych gości nadsyłania ich fotografii, żeby żaden Sakowicz czy Macierewicz się nie wślizgnął, udając Baczyńskiego.

Cd. świętej Gwladysy

Przyszedł klient po autograf i podał mi kartkę, co mam pisać. Zachowałem.

„Mojemu wiernemu Czytelnikowi od lat Kazimierzowi (tu nazwisko) z Sieradza, najukochańszej żonie Krystynie zwanej Krystką, która robi magisterium, dzieciom Bronkowi, który się dobrze uczy, i małej France, kochanym rodzicom oraz teściom z Radości k/Warszawy ich ulubiony autor i redaktor, którego zawsze będą czytać oraz i ukochany rzecznik teściów z wyrazami przyjaźni i najlepszymi życzeniami dla całej rodziny także osób niewymienionych

Jerzy Urban, Warszawa, dnia…".

– Czy mogę streścić? – zapytałem i napisałem: „Państwu (tu nazwisko) Urban".

Każdy szary człowiek pragnie, aby wynajęci fachowcy pisali pod jego dyktando. Cóż więc dziwić się władzom?

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Trump** przewiduje, że zostanie zapamiętany jako „prezydent płodności", bo wspiera in vitro. Trzeba przyznać, że ma wystarczająco duże piersi i biodra do tego tytułu.
- Kot Janusza Piechocińskiego **Miauczur** musi ograniczyć spożycie wątróbki. Z Miauczura to taki Pimpuś Sadełko.
- Od września **władze Gdańska** wprowadzą nocną prohibicję. Wolne Miasto Gdańsk!
- **Andrzej Duda** poinformował, że nie był w restauracji Vladimiro w Rzymie. Przewodnik turystyczny brakiem śladów Andrzeja Dudy będzie wydawniczym hitem.
- **Radiomaryja.pl** informuje, że Zełenski i jego rodzina zarobili w 2024 r. 1,5 mln zł. Od Morawieckich handlu to się Zełenscy nie uczyli.
- W Poznaniu **policjanci** odmówili interwencji, bo jedli kebaby. Widać brali bez sosu „ostry pies".

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Prezydent bez aspergera

W mediach pojawiły się informacje o tym, że Sławomir Mentzen ma zdiagnozowany zespół Aspergera. (…) W mojej ocenie jest to przypadłość, która winna być przeciwwskazaniem do ubiegania się o publiczne stanowisko. U jego podłoża leży nieneurotypowy układ nerwowy i nieharmonijny rozwój różnych obszarów mózgu. Przy dobrej często inteligencji i parcjalnych uzdolnieniach (czasem sięgających geniuszu) ludzie z zespołem Aspergera prezentują deficyty rozwoju społeczno-emocjonalnego. Nie odczytują ludzkich intencji, nie odczuwają empatii, często prezentują niestosowne wypowiedzi czy zachowania, nie będąc świadomymi ich niestosowności. To są cechy, które nie pozwolą im w sposób właściwy pełnić ról społecznych. Z powodzeniem mogą być informatykami, naukowcami czy przedsiębiorcami, ale nie reprezentantami społeczeństwa.

Informacja o zespole Aspergera p. Mentzena winna być nagłaśniana, jak również wyjaśniana odbiorcom, poruszona w trakcie ewentualnej debaty. (…) W mojej ocenie zespół Aspergera winien dyskwalifikować z ubiegania się o jakiekolwiek role społeczne – radnego czy posła, nie mówiąc już o prezydencie.

MS

Red. Wojciech Mittelstaedt

Czytałam Pana artykuł o snookerze, pisany z myślą o przypodobaniu się naczelnej (żart). Jestem od lat kibicką snookera, bo jest to sport wymagający inteligencji i oglądany na żywo przez wyjątkowo specjalną publiczność. Oczywiście często gracze się zastanawiają, ale pozycjonowanie białej bili przy grze i odstawnych wymaga namysłu. Nie przepadam – aż tak jak Agnieszka W.-Ł. – za Sullivanem, ale od lat kibicuję Australijczykowi Neilowi Robertsonowi, który był mistrzem świata 2010 r., zwykle był w najlepszej szesnastce, a w tym roku wygrał turniej o mistrzostwo Anglii, nagrodę za najlepszego w tzw. turniejach domowych, jak np. szkocki, walijski, irlandzki. A ostatnio w wielkim stylu wygrał turniej w Hongkongu pokonując Binghama, który pokonał Trumpa (nie prezydenta USA, tfu!).

W narciarskich mistrzostwach świata w Norwegii brakowało mi Rosjan, i w biathlonie też, bo jeśli się nie wywala Amerykanów, jak toczą np. wojnę w Iraku i flaga Izraela powiewa na igrzyskach, to dlaczego się inaczej traktuje Rosjan? Cenię federację tenisową, gdzie startują Rosjanie i Białorusini – no niech będzie, że bez flagi.

Pozdrawiam Pana i życzę zdrowia

KIBICKA SNOOKERA, NO I RUSKA ONUCA!

eprasa.pl 697f4c9371

Załóż szefowi maila na wagnergrup.ru. Należy się skurwielowi.

Krwiopijcy w krawatach

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Nikt ze współczesnych socjologów nie dostrzega, że zjawisko mobbingu to nic innego jak neomarksistowska manifestacja ukrytej walki klasowej, której początki sięgają XIX-wiecznych traktatów Karola Marksa. W dobie postfordowskiej rzeczywistości linia produkcyjna została zastąpiona przez open space, a dekurion, karbowy, kapo lub jakaś inna najemna świnia oddzielająca błękitnokrwistych od roboczej hołoty nazwana jest dziś liderem zespołu. Konflikt klasowy jednak nie zniknął. Przeciwnie – przybrał nowoczesną korporacyjną formę mobbingu strukturalnego.

Marks pisał o wyzysku robotnika przez kapitalistę. Dziś ta sama relacja odtwarza się w biurach i fabrykach, lecz nieco subtelniej – pod płaszczykiem codziennych interakcji, „feedbacku" i „kultury organizacyjnej". Współczesny mobbing to nowa odsłona alienacji pracownika, który już nie walczy o środki produkcji, lecz o godność, wolne weekendy i prawo do nieodbierania maili służbowych o 23:45.

Kiedy prawo nie nadąża za bezprawiem

Jeszcze 30 lat temu takie słowa byłyby uznane za czystą herezję i bolszewizm, ale gdzieś po drodze okazało się, że jest problem. Ludziska jebią ludzi. Na potrzeby współczesnego eleganckiego świata nazwano to mobbingiem.

Oczywiście prawodawca jak to prawodawca, w ojcowskiej swojej mądrości, aby rozwiązać odwieczny klasowy konflikt, zabronił mobbingu, mniemając, że jest to wystarczający krok do likwidacji zjawiska. Do Kodeksu pracy „mobbing" wprowadzono, zdaje się, wraz z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej, czyli niedługo po 2004 r. Mobbing nie zniknął?! No kto by pomyślał! Aż wierzyć się nie chce, że zakaz mobbingu nie sprawił, że ludzie przestali się nawzajem gnębić.

Opracowany przez UCE GROUP – międzynarodową spółkę analityczno-doradczą z siedzibą w Londynie – raport UCE RESEARCH z 2023 r. wskazuje, że ponad 41 proc. Polaków doświadczyło w miejscu pracy zachowań o charakterze mobbingowym. Według agencji rekrutacyjnej Antal aż 93 proc. pracowników choć raz zaznało mobbingowych uciech.

Ponieważ tych pracujących Polaków jest 17 mln, a tych wyzyskujących ich pracę – dwa z kawałkiem (przyjąłem to za miarodajną liczbę, ponieważ tylu jest płatników ZUS, czyli tych, co odprowadzają składki za zatrudnionych), wydawać by się mogło, że sądy zalewane są pozwami świata pracy przeciwko spasionym kapitalistycznym mordom. A tam konflikt klasowy rozstrzygany jest sprawiedliwie, przeciw uciskiwaczom.

Mimo że media niemal co tydzień wspominają o jakimś mobbingu (w zeszłym tygodniu był to dziekan z jakiegoś uniwersytetu w Warszawie przy Krakowskim Przedmieściu, wcześniej jakiś dowódca OHP) od momentu ukonstytuowania się tego przestępstwa* liczba spraw, jaka wpłynęła do sądów, oscylowała w okolicach tysiąca rocznie. Co więcej, mobbingowani przegrywali w 95 proc. przypadków.

Rzeczywiście, gdy przegląda się akta tych spraw, zarzuty bywają niekiedy kuriozalne. „W firmowej kuchni zawsze zostawała tylko gorzka herbata" – co pracownica uznała za celowe działanie mające ją psychicznie zniszczyć, bo lubiła owocową. „Zmusili mnie do podpisania listy obecności" – co pracownik uznał za „ingerencję w jego wolność i prywatność, a także łamanie prawa do ochrony danych osobowych". „Nie przyznano mu miejsca w firmowym turnieju ping-ponga" – mimo że zapisał się na listę uczestników…

XIX-wieczny wyzysk w XXI-wiecznym opakowaniu

Prawda jest brutalna. Mobbing to nie patologia jednostkowa ani efekt nieprawidłowej kultury organizacyjnej. Miliony ludzi w tym kraju ulegają mobbingowi, który stanowi kontynuację historycznej opozycji pomiędzy klasą wyzyskiwaczy a klasą wyzyskiwaną w warunkach postindustrialnej rzeczywistości. Dzisiejsze techniki mobbingu są funkcjonalnym odpowiednikiem XIX-wiecznych narzędzi opresji pracowniczej, a sam mobbing stanowi barbarzyński mechanizm reprodukcji relacji władzy w środowisku pracy. Jego metodyka jest już na tyle ugruntowana, że poszczególne praktyki mają swoje obiegowe nazwy.

I tak np. „terror targetowy" to cele niemożliwe do osiągnięcia: sprzedawca ma sprzedać 80 polis dziennie, mimo że w miejscowości mieszka 70 osób; pracownik produkcji ma skręcać 60 krzeseł na godzinę, choć średnia wydajność to 12. Gdy nie wyrabiają, lądują na listach wstydu na tablicach ogłoszeń i trafiają na „rozmowy rozwojowe", czyli codzienne upokarzanie.

Albo „rozmyte obowiązki" – opis stanowiska pracy sprowadzający się do: „Będziesz robić wszystko, co ci powiemy, w każdym czasie, za każdą cenę". Efekt: pracownik zatrudniony jako informatyk na pół etatu maluje ściany, a po godzinach robi za kierowcę prezesa.

„Polityka rzekomo otwartych drzwi". Szef deklaruje: „Moje drzwi są zawsze otwarte", ale jednocześnie ignoruje wszystkie maile od pracownika, nie odbiera telefonu, a na spotkaniach mówi: „To nie jest miejsce na takie pytania".

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Przypadki z piekła rynku pracy

Współczesny rynek pracy wykształcił praktyki, które formalnie są „zgodne z prawem", ale w rzeczywistości stanowią formę neofeudalizmu. Zmieniliśmy bat na „umowę partnerską", a rozkazy zarządcy na procedury HR-owe, lecz cel pozostał ten sam: wycisnąć wszystko, co się da, nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności.

Janusz biznesu potrafi zaskakiwać kreatywnością w wymyślaniu form wyzysku. Oto kilka szczególnie dotkliwych przykładów.

Umowa śmieciowa „Premium Plus" to forma zatrudnienia, w której pracownik podpisuje umowę zlecenie na trzy godziny tygodniowo, ale z klauzulą „do dyspozycji pracodawcy 24/7". Do tego obowiązkowa firmowa koszulka i telefon służbowy, który trzeba odbierać zawsze – nawet podczas własnego pogrzebu. Żadnego urlopu, chorobowego ani gwarancji wypłaty. Wynagrodzenie? „Procent od sukcesu firmy", który zwykle okazuje się zerowy.

Niektóre firmy oferują „umowę o pracę na 20 lat". Brzmi jak stabilizacja? W rzeczywistości w drobnym druku kryje się zapis: „W przypadku zmiany sytuacji rynkowej, pogody, nastroju kierownika lub woli zarządu umowa może zostać rozwiązana w dowolnym momencie bez okresu wypowiedzenia". Rezultat? Pracownik po trzech miesiącach dostaje wypowiedzenie z lakonicznym uzasadnieniem: „nie pasował do kultury organizacyjnej".

W części firm obowiązuje zasada, że wynagrodzenie wypłacane jest dopiero po pozwie. Pensja za wykonaną pracę traktowana jest jako premia uznaniowa, którą można otrzymać dopiero po złożeniu pozwu do sądu pracy, trzech rozprawach, prawomocnym wyroku i ewentualnej egzekucji komorniczej. Wewnętrzny regulamin nazywa to „Programem lojalnościowym, czyli zaufanie budujemy w postępowaniu sądowym".

Innym absurdalnym pomysłem jest system „Premia za przeżycie". Pracownik dostaje podstawowe wynagrodzenie w wysokości 2500 zł brutto, ale obiecuje mu się premię 4000 zł pod warunkiem, że przez rok nie opuści ani jednego dnia pracy. Żadnych zwolnień z powodu choroby, wypadku, śmierci bliskiej osoby, a nawet własnej.

Na koniec pakiet socjalny „Podpisz klauzulę lojalnościową". Pracownik na umowie o dzieło może skorzystać z benefitów takich jak bilety na basen czy karta MultiSport, ale tylko jeśli podpisze klauzulę lojalnościową na 10 lat z zakazem konkurencji w całym województwie i zobowiązaniem do pokrycia kosztów benefitów z własnej pensji.

Tresura w korporacyjnym cyrku

W tym systemie urosła już nowa klasa społeczna – najemnych łobuzów. Swoista „menedżeria korporacyjna". Ci samozwańczy właściciele „wartości dodanej", władający Excelem i komunikatorem służbowym, stosują mechanizmy opresji wyuczone na szkoleniach w hotelu w kapciach. Takie jak teatralne „publiczne upokorzenia" na spotkaniach zespołowych. Opracowane do perfekcji metody podważania pewności siebie poprzez wmawianie podwładnemu, że jego postrzeganie rzeczywistości, uczucia, wspomnienia lub zdrowy rozsądek są błędne, przesadzone albo nieprawdziwe (to się nawet jakoś nazywa). Wszystko pod przykrywką „konstruktywnej krytyki".

„Milczący sabotaż" – pracownika nęka się nie przez krytykę, ale przez brak informacji o ważnych spotkaniach, pomijanie w komunikacji mailowej, ignorowanie w czasie rozmów zespołowych. Wszystko w atmosferze: „Nie mamy nic przeciwko, to ty jesteś przewrażliwiony". Pracownik jest publicznie ośmieszany, a potem słyszy: „To był żart. Nie masz dystansu".

Technika „samobiczowania publicznego" – pracownik, który popełnił drobny błąd (np. literówkę w mailu), zostaje poproszony o przesłanie publicznych przeprosin do całego zespołu i uczestnictwo w specjalnym spotkaniu, na którym „zreferuje, czego nauczył się na swoim błędzie".

Powiedzmy sobie szczerze – z tym do żadnego sądu iść się nie da, ale też to jeszcze nie powód do strzelania z Aurory. Biadolenie też nic nie pomoże. Nasi Czytelnicy, sponiewierani przez dorobkiewicza w SUV-ie, muszą wypracować sobie metody samoobrony, a jak wiadomo, najlepszą obroną jest atak.

Wielkie arkana zemsty pracowniczej

Nie jesteście sami! Choć nie mogę powiedzieć, że mam w rękawie talię wszystkich pomysłów we wszystkich kolorach. Ale spróbujmy.

Jednym z nich jest operacja „Mag – WagnerMail". Chodzi o stworzenie iluzji. Zmanipulowanie rzeczywistości. Polega na założeniu szefowi skrzynki mailowej na podejrzanym serwerze, na przykład jan.kowalski@wagnergrup.ru (domena wolna, rejestracja przez https://www.nic.ru/, koszt 590 rubli, ok. 30 zł) albo kowalski.investments@kgbmail.eu (dostępna w Polsce u każdego hostingodawcy za jakieś 15 zł). Z tego adresu można rozesłać zaproszenia do współpracowników i klientów na „warsztaty z etyki pracy i przeciwdziałania mobbingowi", co samo w sobie ma potencjał wywołania niemałego zamieszania.

Kolejną sprawdzoną (przeze mnie) metodą jest akcja „Kochankowie – kokardka z delegacji". Wystarczy podczas służbowego wyjazdu „przypadkowo" zostawić w walizce szefa damskie stringi, ulotkę z klubu go-go i paragon z motelu Pod Różyczką. Potem trzeba zadbać, by zdjęcie tego znaleziska „przypadkiem" trafiło na firmowy czat. Dodatkowym smaczkiem tej operacji jest fakt, że żona szefa ma 59 lat. Jest bardzo konserwatywna i regularnie sprawdza mu telefon.

Na froncie informacyjnym można uruchomić „Wieżę – wojnę memowo-propagandową". Ta metoda polega na burzeniu wizerunku i demolowaniu reputacji. Tworzysz anonimowe konto na Instagramie, Facebooku lub LinkedInie, gdzie codziennie pojawiają się sarkastyczne memy o mobbingujących menedżerach. Zamazane screeny jego maili lub cytaty z jego rozmów w rodzaju: „Ciebie to nie stać nawet na godność".

Nie należy zapominać o sprawdzonych metodach biurokratycznego uprzykrzania życia. „Sprawiedliwość – operacja BHP-ekstremalne" polega na systematycznym składaniu do PIP lub służb BHP zgłoszeń o rażących naruszeniach przepisów w firmie. Braku gaśnicy w zasięgu ręki, braku procedury ewakuacji, pracy na krześle bez atestu. Zgłoszenia można składać regularnie, co tydzień, wymyślając nowe „śmiertelne zagrożenie".

W arsenale znajduje się także akcja „Diabeł – wirusowa sympatia". Zakłada się szefowi profil na portalu randkowym dla swingersów lub fetyszystów, posługując się jego służbowym zdjęciem. W opisie można umieścić hasło: „Kierownik szuka partnerki do zarządzania zespołem w trybie dominacji".

Na koniec zostaje klasyczna technika „Księżyc – cichy donos". Do jego sąsiadów lub wspólnoty mieszkaniowej trafia anonimowy list o treści: „W związku z powtarzającymi się hałasami i krzykami w Państwa klatce schodowej prosimy o zgłoszenie mobbingowych zachowań pana Jana K. na policję lub do Inspekcji Pracy.".

Obudźcie się, barany, zanim was zarżną przy biurku! Idźcie i siejcie ferment! To nie jest zabawa w korporacyjne gierki, to walka o przetrwanie. A wy, skurwysyny w garniturach, pamiętajcie: rewolucja nadchodzi i nie będzie litości.

ROBERT JARUGA

* Mobbing, choć sam w sobie nie jest przestępstwem w polskim prawie (we Francji, Włoszech, Hiszpanii i Belgii już jest), tylko naruszeniem praw pracowniczych, może wypełniać znamiona czynów karalnych, takich jak stalking, znęcanie się psychiczne i fizyczne (to wtedy, kiedy pracodawca bije pracownika) czy groźby karalne. Ofiary mobbingu mogą dochodzić swoich praw na drodze sądowej, powołując się na te konkretne przestępstwa.

eprasa.pl 697f4c9371

Jałta trwa

I bardzo dobrze

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Europie – a w każdym razie w znaczącej jej części, włączając Polskę – zapanował strach przed „nową Jałtą”. Przed porozumieniem USA i Rosji w sprawie Ukrainy na wzór tego, jakie w czasie II wojny światowej Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zawarły ze Związkiem Radzieckim w sprawie Polski, jej granic i niezależności – bez wiedzy i poza wolą jej uznawanego przez Zachód rządu.

Obecna inicjatywa Donalda Trumpa w sprawie wojny w Ukrainie jest porównywana z tamtą dotyczącą Polski. Jest to zestawienie i porównanie błędne, polonocentryczne. Opiera się w znacznej mierze na nieporozumieniu. Decyzja mocarstw koalicji antyhitlerowskiej w rzeczywistości zapadła w Teheranie, a nie w Jałcie. A poza tym nie była to jedyna – a tym bardziej główna czy najważniejsza – kwestia rozstrzygana w ramach tych porozumień. Sprawę polską przywódcy mocarstw traktowali jako drugorzędną; jako rodzaj przeszkody na drodze realizacji dużo ważniejszych problemów wojny i ładu powojennego.

Latem 1943 r. w Waszyngtonie, w toku przygotowań spotkania przywódców koalicji w Teheranie, brytyjski minister Anthony Eden w rozmowie z prezydentem Rooseveltem zauważył, że Polacy nie zgadzają się na linię Curzona jako wschodnią granicę swego kraju. Roosevelt machnął ręką: „Będą musieli się zgodzić. Nie zamierzam jechać na konferencję pokojową po to, aby tam tracić czas na drugorzędne utarczki z mniejszymi państwami, które uratowaliśmy od zagłady”.

Rozumowanie Roosevelta i Churchilla było takie: bez ofiary krwi milionów żołnierzy radzieckich wojny z Hitlerem nie da się wygrać. Co najwyżej zakończy się ona kompromisem, który pozostawi Europę – wraz z Polską – w ręku Niemiec. Linia Curzona to dla ZSRR warunek wytrwania w tej wojnie i zapłacenia daniny krwi za jej pełne wygranie. Zatem nasz wspólny interes, polski też, polega na akceptacji tej granicy. Jeśli Polacy tego nie zrozumieją, zdecydujemy za nich i bez nich. Decyzja zapadła w Teheranie w listopadzie 1943 r., a dyskusja w tej sprawie trwała niewiele ponad pół godziny.

W jej wyniku perspektywy Polski wyglądały marnie: „państwo małe terytorialnie i słabe, ale niezależne od ZSRR”. Tak to zapisał w swym memoriale dla Stalina i Mołotowa ze stycznia 1944 r. uczestnik teherańskich rozmów Iwan Majski. Latem 1944 r. w toku przygotowań do konferencji krymskiej z inicjatywy Stalina decyzje w kwestii polskiej zmieniono na: kraj znacznie większy i silniejszy, ale zależny od Związku Radzieckiego. I na tym stanęło w Jałcie i Poczdamie. Mocarstwa anglosaskie przystały na to, choć bez entuzjazmu.

Ale Jałta to coś znacznie poważniejszego i szerszego niż ta dotycząca Polski incydentalna decyzja. Jałta to symboliczne określenie całego kompleksu porozumień czasu wojny: od Casablanki (luty 1943) poprzez Teheran i Jałtę aż do Poczdamu. Dotyczyły one kluczowych założeń strategii wojennej: główny ciężar wojny lądowej w Europie spoczywa na ZSRR, drugi front we Francji, nie na Bałkanach, cel końcowy – bezwarunkowa kapitulacja i czasowe zawieszenie niemieckiego państwa i jego okupacja przez cztery mocarstwa. W ramach tych samych porozumień ustalono też zasady ładu pokojowego po wojnie: Niemcy i Japonia zdemokratyzowane i zdemilitaryzowane pod kontrolą mocarstw okupujących, Organizacja Narodów Zjednoczonych z Radą Bezpieczeństwa i jej pięcioma (według Roosevelta) „policjantami” – uprzywilejowanymi stałymi członkami, surowe rozliczenie niemieckich przywódców politycznych i wojskowych.

Centralna była sprawa Niemiec. Likwidacja niemieckiego państwa i jego okupacja automatycznie pociągnęły za sobą podział Europy na strefy wpływów. Wprowadzenie do Niemiec, na znaczny okres, wielotysięcznych armii okupacyjnych wymagało stworzenia zaplecza dla państw okupujących: stref przyjaznych i kontrolowanych. Na zachodzie ich formowanie odbyło się w drodze dobrowolności ubezpieczanej jednak militarną obecnością, na wschodzie – ze znacznym współczynnikiem przemocy w drodze wasalizacji. Ale związek tego procesu z podziałem Niemiec był oczywisty. Decyzja o zjednoczeniu Niemiec i zawarcie z nimi traktatu pokojowego (4+2) w 1990 r. spowodowały – prawie automatycznie – uchylenie stref wpływów i polityczno-ustrojowe tego skutki. Powstała nowa Europa i nowy ład międzynarodowy. To najważniejsza i największa historyczna konsekwencja autentycznej Jałty.

Taka Jałta może być porównywana do innych ważnych traktatów europejskich w dziejach nowożytnych: do traktatów westfalskich z Münsteru i Osnabrück w 1648 r. kończących wyniszczającą wojnę trzydziestoletnią i w ogóle epokę wojen religijnych lub do uchwał kongresu wiedeńskiego z 1815 r. po wojnach napoleońskich.

Każde z tych porozumień dało Europie stabilizację i pokój na stulecie – choć nie był to pokój kompletny. Po traktatach westfalskich była jeszcze wojna północna, w wyniku której Rosja Piotra I stała się mocarstwem europejskim. A po Wiedniu 1815 – wojna krymska, wojny bałkańskie, wojny o północne Włochy, wojna rosyjsko-japońska. Ale wojny powszechnej nasz kontynent uniknął aż do 1914 r. Podobnie jest z ładem pojałtańskim. Wytrzymał on zimną wojnę, kilka wojen pokolonialnych i wytrzyma zapewne wojny sukcesyjne po upadku ZSRR, również tę w Ukrainie.

Nawet nie zdajemy sobie sprawy, że żyjemy w Europie ukształtowanej przez ład pojałtański. Granica wschodnia Polski przebiega tak, jak ją tam wytyczono, zachodnia – też. Granice Niemiec i wielu innych państw Europy Środkowej – również. Pokonane mocarstwa zostały zdemokratyzowane i zdemilitaryzowane, rozkwitają. ONZ działa. Jałta nie musi wracać, ona wciąż żyje. Co więcej, trzeba przyznać, że mimo wielu perturbacji w ostatecznym rozrachunku zainteresowanym narodom i światu się opłaciła. Polsce też – wątpię, czy dzisiaj większość naszych rodaków, mogąc wybierać, wybrałaby przedwojenne granice i Lwów z Ukraińcami zamiast Wrocławia.

Gdy Donald Trump w Gabinecie Owalnym krzyczał na speszonego Zełenskiego, że „igra z trzecią wojną światową”, prezydent USA nie usiłował „przywracać Jałty”, tylko w obcesowy i mało elegancki sposób bronił jej spuścizny. Wojnę w Ukrainie Trump traktuje jako niebezpieczny – ale jednak tylko lokalny – konflikt o sukcesję po ZSRR. Obawia się jego eskalacji i chce go zakończyć, jeśli nie pokojem trwałym, to do pokoju podobnym rozejmem. W tym celu zmienił rolę Stanów Zjednoczonych – z patronackiej wobec Ukrainy na rozjemczą. Ściślej:

wobec Putina Trump jawi się w roli szefa państwa, które przez trzy lata z Rosją wojowało rękoma Ukraińców, ale nie wygrało, więc szuka kompromisu. Zaś wobec Ukrainy – jawi się rozjemcą.

Chce też przywrócić Rosję do roli uczestnika, a nie pariasa systemu pojałtańskiego, który w swym podstawowym zarysie nadal istnieje. Trudno inaczej interpretować zapowiedź ponownego zaproszenia Federacji Rosyjskiej do G7.

Grupa państw europejskich zbuntowała się przeciw Trumpowi i chce się dozbrajać, aby bez Ameryki stawić czoła Rosji. Na ile to bunt szczery, trudno powiedzieć. Motywy zapewne są różne. U jednych – jak w Polsce – zapiekła rusofobia i marzenie o dobiciu Moskali rękoma i krwią Ukraińców. U innych – tych na zachodzie – raczej obrażenie się na Amerykę, że ich olewa i do stołu nie prosi. Tak czy owak, wyłania się z tego program remilitaryzacji Europy, a nawet budowy wspólnej armii. Bardzo niespójny i oparty na myśleniu życzeniowym.

Budowa przemysłu zbrojeniowego – którego Europa nie ma – to zadanie wieloletnie, a wspólna armia to marzenie. Prawie nikt w Europie do tego się nie pali. Tu przez wspólną armię rozumie się oddelegowane do niej narodowe dywizje z własnym – i swoim rządom podporządkowanym – dowództwem. Druga wojna światowa dowiodła, że to kiepskie wojsko. Zorganizowani w ten sposób węgierscy i rumuńscy sojusznicy Wehrmachtu masowo i pierwsi szli do radzieckiej niewoli.

Ponadto mało kto chce pamiętać, że ten naród europejski, który był przez historię do wojowania i produkcji broni wiekami ćwiczony – czyli naród niemiecki – po straszliwej lekcji pacyfizmu przed 80 laty teraz wojować nie chce.

W II wojnie światowej zginęło 50 proc. niemieckiej populacji męskiej w wieku 18–45 lat. Dzisiejsi kandydaci w kamasze to głównie wyborcy AfD: jawnie antyukraińscy i prorosyjscy. Oni Ameryki nie zastąpią, raczej przeciwnie. Wydaje się, że Ameryka jako dostawca nowoczesnej broni na razie jest nie do zastąpienia. Na tym buduje swe plany Trump, co pozwala mu Stary Kontynent olewać. Bezpieczniej zatem go nie lekceważyć i raczej mitygować niż pouczać i drażnić.

M.Z.

Nacjonalizm w ciemnym lesie

Bajki dla myślących

Może pora na Federację Europejską?

Donald Trump zmienia dotychczas obowiązujące pewniki w geopolitycznym układzie na globie. Już w trakcie obecnej kadencji prezydenckiej zdołał podważyć pewność co do solidarnej obrony państw NATO. Zgłosił roszczenia terytorialne wobec Kanady i Grenlandii, zagroził interwencją zbrojną Panamie, chce budować amerykańską riwierę na wybrzeżu Gazy, wypowiedział wojnę handlową Chinom oraz wielu dotychczas najważniejszym partnerom gospodarczym i politycznym. Ostatnio także stwierdził, że Unia Europejska powstała po to, by „wyrolować” USA, i ogłosił, że wprowadza 25 proc. cła na samochody sprowadzane z UE.

Ale to nie koniec radykalnych zmian, jakie widać w polityce międzynarodowej Trumpa – bo albo z powodu szemranych powiązań z Moskwą, albo z głupoty, która kroczy (jak wiemy) przed pychą, albo z powodu braku „atutów w swoich kartach”, pozwala wodzić się za nos i ośmieszać Putinowi w tzw. negocjacjach pokojowych. A przecież obiecał światu, że pokój wprowadzi w 24 godziny.

W tej sytuacji wojna domowa kapitalistycznego świata trwa. To wojna imperialnej Rosji z imperialnym Zachodem na terenie nieszczęsnej Ukrainy.

Z tym że Zachód, rozumiany tak jak do tej pory, już praktycznie nie istnieje. Może jest w tym jakaś globalna racjonalność i sprawiedliwość, że Chiny stały się liderem alternatywnego porządku świata.

Bóg oraz Czytelnicy „NIE” niech będą mi świadkami, że kapitalizmu nie kocham, a systemu oligarchicznego w szczególności, ale jeśli miałabym wybierać życie w którymś z trzech istniejących wykwitów współczesnego kapitalizmu: w Stanach, Rosji czy w Europie, to wybiorę tę trzecią opcję, więc z troski o Europę piszę ten felieton.

Z troski o Europę, bo gołym okiem widać, że po geopolitycznym rozpadzie Zachodu Europa została osierocona. Trump, chciał nie chciał, przypomniał Europie, że aktualne są słowa kardynała Richelieu: „Od przyjaciół, Boże, strzeż. Z wrogami sobie poradzę”. Ale teraz, w krwiożerczym imperialnym kapitalizmie, Europa jest jak 27 porzuconych w lesie sierot, otoczonych przez głodne kasy i władzy wilki. Trump póki co trzyma swoich za (ich zdumioną) twarz, Putin uprawia zamordyzm w Rosji i okolicach, Xi Jinping trzyma się mocno (może nawet zbyt mocno), a 27 państw Europy… w lesie – okopuje się i zbroi. A wiadomo: dla biznesu zbrojenia to widoki na gigantyczne zyski. Już zaczęła się przepychanka między „przyjaciółmi”, komu da się urwać z tego sukna większy kawałek. Ale nie słyszałam, aby któremuś z nich przyszło do głowy, żeby zrobić coś więcej niż zwykłe knowania przeciw sobie nawzajem.

Może w obliczu działań coraz bardziej agresywnego światowego imperializmu czas zmienić Unię Europejską w zdecydowanie bardziej sprawną, jednolitą strukturę: Europejską Federację? Jaka powinna być ta zjednoczona Europa, to całkiem inna bajka. Na razie zauważę, że kopniak w tyłek, jaki dostaliśmy, chyba zabolał zbyt słabo, bo nie słyszałam, żeby któryś z europejskich polityków zaczął rozważać tę opcję.

Jednoczyć się politycy strasznie nie lubią, bo przecież w takim procesie zawsze trzeba komuś ustąpić miejsca w szeregu – oddać część władzy. Jeśli nie można w tej sprawie liczyć na polityków, to może europejski lud się zjednoczy? Ale skąd u mnie taka myśl?! Zgłupiałam? Przecież politycy od wieków rozdmuchują nacjonalistyczne nastroje w swoich państwach, aby potem powoływać się na tradycję narodu, bohaterską historię, narodowe interesy i groźny oraz wrogi nacjonalizm sąsiadów. Prawdziwym ich celem jest utrzymanie się u władzy, bo wiedzą, że „naród jest na tyle głupi, że to kupi”.

Nacjonalizm jako swoisty rodzaj rasizmu – przekonanie o wyższości czy „lepszości” jednych w porównaniu do innych – jest zarazą toczącą ludzkość od jej zarania. Działa on podobnie jak religia, która swych wiernych uświęca, a niewiernych czyni gorszymi. Jasne jest dla wszystkich, że prowadzi to do ucisku jednych grup, plemion i nacji nad innymi. Rasizm, nacjonalizm i fundamentalizm religijny spowodowały na świecie ogromną liczbę wojen i nieszczęść, a nadal bywają (jak nietrudno wokół siebie dostrzec) narzędziem zdobywania i utrzymania władzy. Są one składową procesu, który (jak udowodniła historia) prowadzi do faszyzmu. Nacjonalistycznym politykom nie przeszkadza oczywista prawda, że nacjonalizm jednego społeczeństwa (zwanego przez nich narodem) napędza i umacnia nacjonalizm drugiego – tylko o przeciwnym wektorze.

Jak uczynić Europę zjednoczoną i silną mimo rozlicznych nacjonalistycznych egoizmów?

W tej sprawie, jak w wielu innych beznadziejnych sprawach, w których powinny rządzić dobroć i mądrość, a nie rządzą, potrzebna jest bajka. Bez bajki także i w tej sprawie nie damy rady!

Ale czy da się napisać taką bajkę, w którą uwierzysz?

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 697f4c9371

Skrzypek na dachu Tupolewa

A kto umarł, ten żyje

Największa partia opozycyjna nigdy nie miała oporów, żeby grać zmarłymi, nawet gdy byli to najbliżsi jej prezesa. Nadrzędny cel, jakim jest władza (nazywana na potrzeby propagandy Polską) uświęca środki, po które przyzwoity człowiek nie ważyłby się sięgnąć.

15. rocznica katastrofy smoleńskiej to świetna okazja, żeby o sobie przypomnieć, oskarżając kanalie i mordy zdradzieckie o zamordowanie brata bliźniaka Jarosława Kaczyńskiego.

Oberwie się także Putinowi, choć tutaj należy ostrożnie, bo nazajutrz Donald Trump może powiedzieć, że prezydent Rosji to bardzo miły człowiek i na pewno nie zabiłby głowy państwa polskiego – i jak to potem wytłumaczyć?

Mit smoleński się wypala, ale opowieść o zdrajcach czyhających na życie patriotów jest ciągle podniecająca. Trzecie pokolenie AK walczy z trzecim pokoleniem UB, III RP z IV RP. Pełzający zamach stanu pochłania kolejne ofiary. Obchody rocznicy Smoleńska posłużą do podkręcenia tej narracji, żeby zmobilizować sympatyków do pójścia na wybory prezydenckie. Wynurzenia Macierewicza i jego komisji jarają już tylko najtwardszych członków sekty. Kaczyńskiemu tymczasem wpadły w ręce argumenty, których sam się nie spodziewał.

Najpierw śmierć Barbary Skrzypek. Jarosław Kaczyński goszczący w Republice zaraz po tym, jak umarła jego wieloletnia współpracownica i – zdaje się – przyjaciółka, unikał robienia z tego sprawy politycznej i skupiał się na ciepłych wspomnieniach o kobiecie, która pomagała mu ogarniać partię. Mniej cierpliwości i taktu mieli inni członkowie PiS. Paweł Szefernaker, szef sztabu wyborczego Karola Nawrockiego, który o śmierci „pani Basi" dowiedział się podczas audycji na żywo w Republice, po wzruszającym osobistym wstępie przeszedł do apelu o mobilizację i solennej obietnicy, że on sam będzie nieustępliwy w walce, „by pokazać tym, którzy doprowadzili do tego, co się w Polsce dzieje, że dobro zwycięży".

Prezes PiS szybko przestał się krygować: w kolejnych wywiadach i przemówieniach z prywatnej sprawy śmierci przyjaciółki zrobił rzecz publiczną i polityczną. Mimo apelu rodziny pogrzeb był transmitowany przez dwie pisowskie telewizje, a w kanale Sakiewicza na obrazek trumny Skrzypek nakładał się apel o wsparcie kupna wozu transmisyjnego. Media sprzyjające Kaczyńskiemu wybiły się na Smoleńsku (Republika jako telewizja internetowa została uruchomiona w pierwszą rocznicę katastrofy), ich pracownicy nie omieszkali więc skorzystać z okazji, by stworzyć atmosferę grozy życia w kraju, w którym wykańcza się opozycję.

O ile wśród pisowców sprawa śmierci Barbary Skrzypek przyjęła się bez popity, o tyle ogół społeczeństwa ni ona ziębi, ni grzeje. W sondażu przeprowadzonym dla „Rzepy" przez SW Research 41 proc. odpowiedziało, że obecna koalicja rządząca nie ma z tym zgonem nic wspólnego. 22,1 proc. przepytanych widzi w tym macki Tuska i bodnarowców. 23 proc. nie ma zdania, a 14,2 proc. w ogóle nie słyszało o całym zamieszaniu. Pisowcy przestali więc grzać temat, tymczasem kolejna „mordercza" opowieść spadła im z nieba.

Z więzienia wyszedł Ryszard Cyba, przebywający w pierdlu za zabójstwo działacza PiS Marka Rosiaka w 2010 r., parę miesięcy po Smoleńsku. Cyba wszedł wówczas do łódzkiego biura PiS i zastrzelił jednego działacza, a drugiego ranił nożem. Miał przy tym krzyczeć, że chciał zabić Kaczyńskiego i powystrzelać pisowców. Teraz wyszedł, a w zasadzie nie tyle wyszedł, co zmienił ośrodek. Biegli lekarze uznali, że nie może on dalej przebywać w więzieniu, bo zagraża to jego życiu. Został przewieziony do psychiatryka.

Pisowcy poszli w to jak dzik w żołędzie. Dyskretnie pomijając prawdziwe powody zwolnienia mordercy z więzienia, zawyrokowali, że władza wypuszcza zbrodniarzy, z którymi jest jej po drodze. – Koledzy uwalniają kolegów – stwierdził Jarosław Kaczyński. – Być może ktoś liczy na to, że się przestraszę, ale oczywiście nic takiego nie nastąpi. To jest zachęta do dalszego czynienia zła – interpretował prezes. I spuentował, że najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z kolejną prowokacją obozu rządzącego. Wbrew pozorom może nie jest to tylko kolejny odlot Kaczora.

Kaczyński w emocjach mówi to, co naprawdę myśli – nie ma lepszej wody na młyn Koalicji Obywatelskiej. Tematy takie jak Smoleńsk, Cyba czy Barbara Skrzypek działają na prezesa jak płachta na byka. Obóz władzy niespecjalnie tonuje emocje wokół tych kwestii, wręcz przeciwnie, jego przedstawiciele podkręcają Kaczyńskiego, mówiąc np., że to on ostatni rozmawiał z „panią Basią" (to samo było w przypadku Smoleńska i rozmowy z bratem). Okolice rocznicy katastrofy to dla niego zapewne trudny psychicznie czas, więc łatwo go sprowokować. Donald Tusk lubi przejechać prętem po kratach, grając na nerwach głównego rywala. Rozsierdzony Kaczyński to kolejne obrazki oszalałego z nienawiści dyktatorka żyjącego teoriami spiskowymi i smakowite cytaty z głębi mądrości prezesa. Komu to na rękę, nie trzeba mówić.

ŁP

Rys. TOMASZ WIATER

Koniec praw człowieka

Władza polubiła przemoc

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Od kiedy walkę klas zastąpiła walka o przestrzeganie praw człowieka, staram się zapobiegać pogwałceniom ludzkich praw gwarantowanych konstytucją i ustawami. Zdarzało mi się też łamać nieludzkie prawo w imię humanizmu. I nawet raz Trybunał Konstytucyjny przyznał nam rację, stwierdzając, że eksmisje na bruk są niezgodne z konstytucją, chociaż ustawa o najmie ją dopuszczała. Dziś prawnicy, dziennikarze i osoby publiczne usprawiedliwiają dzikie eksmisje bez komornika, bez wyroku sądu. Eksmisje, które są w istocie samosądami i których dokonują ludzie wyglądający jak z dowcipów o mafii. Mężczyźni bez szyi, krępi, obficie umięśnieni, w kółko goleni i w obowiązkowo w czarnych okularach. Usprawiedliwienie brzmiało zawsze tak samo: „przecież nie płacił" i „właściciel ma prawo".

Gdyby ktoś sądził, że zdziczenie obyczajów dotyczy tylko mieszkań, byłby w wielkim błędzie. Rząd Donalda Tuska zawiesza prawo do azylu wszędzie tam, gdzie istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś o taki azyl poprosi. To jest sprzeczne nie tylko z prawami człowieka, ale i z prawem międzynarodowym. Jest to złamanie podpisanych przez Polskę traktatów. Teraz możemy, nie wysłuchawszy osoby proszącej o ochronę międzynarodową, odesłać ją nawet na pewną śmierć, np. z rąk talibów. Możemy – bo prawo nie służy już do obrony jakichś wartości, tylko do wygrywania wyborów.

Liberałowie chcą być okrutniejsi niż narodowcy i jak na razie świetnie im idzie. PiS, który z dumą uprawiał push-backi, prawa do azylu nie zniósł.

Łamanie prawa w sytuacji wyższej konieczności, która w jakiś niepojęty sposób ma związek z przywracaniem praworządności, stało się normą. Urzędniczka, która spędziła dziewięć miesięcy w areszcie w pojedynczej celi, z ust posła Giertycha dowiedziała się, że gdyby zdecydowała się zeznawać, od razu by wyszła na wolność. To otwarte przyznanie, że mieliśmy do czynienia z aresztem wydobywczym. Trudno też zrozumieć, dlaczego osoba wcześniej niekarana, oskarżona o przestępstwo urzędnicze, musiała mieć zakładane kajdanki na ręce i na nogi.

Nie wiem, czy ksiądz Olszewski dopuścił się jakichś przestępstw w ramach Funduszu Sprawiedliwości, ale przesłuchiwanie go przez 15 godzin w kajdankach zespolonych (ręce i nogi) było – jak twierdzi rzecznik praw obywatelskich – niewłaściwe. Nie nazwał tego wprawdzie torturami, ale prawdę mówiąc, właśnie to słowo ciśnie się na usta. Nie mam nic przeciwko stawianiu w stan oskarżenia posłów, ministrów i samego króla – gdybyśmy byli monarchią. Nie podoba mi się jednak nadużywanie aresztu tymczasowego, tak samo jak nie podobało się Adamowi Bodnarowi, kiedy pełnił funkcję rzecznika praw obywatelskich. Nie podoba mi się zakładanie kajdan na wszystkie kończyny osobom, które w myśl prawa nie są winne żadnego przestępstwa, bo póki nie zostały skazane, obowiązuje domniemanie niewinności.

Nie przypuszczam, by minister sprawiedliwości osobiście wydawał szczegółowe instrukcje o sposobie traktowania zatrzymanych osób związanych z poprzednia władzą. Ale gdy Adam Wiącek – niezaangażowany przecież w spór polityczny – potwierdził bulwersujące fakty, zastanawia bierność ministra sprawiedliwości. Bierność, która oznacza aprobatę dla tych haniebnych praktyk.

I nie staję tu w obronie ludzi PiS, tylko w obronie wszystkich ludzi. Bo gdy się raz zacznie otwarcie łamać prawa człowieka, to zwykli, dalecy od polityki obywatele mogą się obawiać, że ich prawa łamane będą równie bezceremonialnie.

Konflikt polityczny sprawił, że urzędującym politykom puszczają hamulce i „dorzynanie watahy" przestaje być już tylko metaforą.

Instrumentem sporu politycznego przestaje być walka na argumenty, szermierka słowna, a staje się prawo karne i karne represje. Zwoływanie konferencji prasowych, zanim postawione zostaną jakieś zarzuty, miało być niechlubną przeszłością – a nie jest.

Dopiero teraz, kiedy do więzień trafiają politycy prawicy, dowiadujemy się, jak wygląda nasz system więziennictwa. Nikogo nie obchodziło to, że więźniów w Polsce się praktycznie nie leczy – co stanowi według wszelkich standardów rodzaj tortury – dopóki nie dotknęło to osób sławnych i urzędowych.

Najgorsze jest to, że prawica prawdopodobnie już wkrótce odzyska władzę. I zacznie się mścić, mając tym razem usprawiedliwienie w demokracji walczącej Donalda Tuska. A wtedy spirala przemocy i bezprawia rozkręci się na dobre.

Bójcie się wszyscy, którzy macie szanse wpaść w tę maszynkę do mielenia ludzi. Bo jeżeli można takie rzeczy robić posłowi czy ministrowi, to co dopiero wam, szarym obywatelom.

PIOTR IKONOWICZ

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Europosłanka Anna Bryłka sprawiała do niedawna wrażenie wyszczekanej i jak na konfederatkę dość bystrej kobiety. Trwa kampania prezydencka, Polacy mają zatem obowiązki polskie, a konfederaci – obowiązki mentzenowskie. Wspierać muszą Pana Hulajnogę w mediach, choćby pierdolił on farmazony takie jak stąd do Radomia.

W ostatnią niedzielę Bryłka dała Mentzenowi wsparcie w „Siódmym dniu tygodnia Radia Zet": prowadzący audycję red. Andrzej Stankiewicz zadał jej pytanie, czy urodziłaby dziecko, po tym jak by ją zgwałcono. Można było udzielić jednej z trzech odpowiedzi: tak, nie, nie wiem. Bryłka wybrała czwartą: „Takie pytanie nigdy nie powinno paść, panie redaktorze".

Wieczorem w „Faktach po Faktach" w TVN24 Bryłka została zapytana kilka razy przez red. Katarzynę Kolendę-Zaleską, czy „zgwałcona 14-latka powinna urodzić dziecko". Znów były trzy możliwości: tak, nie, nie wiem. Bryłka odpowiedziała na czwarty sposób: „To jest marginalna sprawa".

Powiedzieć o Bryłce, że jest tępą dzidą, to obrazić każdy rodzaj tępoty i wszystkie dzidy na świecie.

eprasa.pl 697f4c9371

Wielka Warszawska o kryształowy żyrandol

Z ulgą odnotowujemy, że doskonała większość kandydatów nie zebrała podpisów.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Do walki o urząd prezydenta – oprócz kandydatów powszechnie znanych – stanęła spora grupa takich, którzy przywodzą na myśl stary dowcip o ślepym koniu zapytanym, czy będzie startował w Wielkiej Pardubickiej. Koń na to bystrze: nie widzę przeszkód!

Przeszkód nie widziała większość spośród 44 kandydatów, którzy zarejestrowali swoje komitety wyborcze, co skłania do myśli, iż sporo z nich ma ego zdecydowanie bardziej wybujałe niż iloraz inteligencji.

Teoretycznie kandydatem na prezydenta powinien być człowiek powszechnie znany, o wybitnym dorobku naukowym lub pozycji społecznej, postać stateczna, charyzmatyczna, wręcz posągowa. W końcu głowa państwa to ma być ikona narodu, a nie pospolity aparatczyk. Tyle teorii; w praktyce, największe szanse, tyleż w sondażach, co w samych wyborach, mają nieodmiennie kandydaci wiodących partii politycznych. Tym bardziej zdziwienie budzi więc mnogość osób zupełnie elektoratowi nieznanych.

Kto oprócz sąsiadów wie, kim jest Aldona Anna Skirgiełło, która zajmuje się hodowlą koni cygańskich i kóz? Pani jest znana w lokalnej społeczności jako prezes Stowarzyszenia Rozwoju Gminy Nurzec-Stacja. Jest amazonką z międzynarodowym stażem wyścigowym. Wyników gonitw nie znamy. Wiadomo jednak, że w wyborach samorządowych w 2018 i 2024 r. bezskutecznie ubiegała się o fotel wójta gminy Nurzec-Stacja. W wyborach parlamentarnych w 2019 r., będąc kandydatką Samoobrony, nie uzyskała mandatu senatora. Polecamy panią Aldonę przy obsadzie stanowiska dyrektora Stadniny Koni w Janowie Podlaskim.

Ciekawie swoją kandydaturę na własnej stronie internetowej promowała natomiast pani Dominika Jasińska. „Czasem ludzie mówią, że kieruje nimi Duch Św. czy Siła Wyższa. […] W trakcie każdego kolejnego kroku w tym projekcie wsłuchuję się w głosy różnych autorytetów – Jezusa, Gandhiego, Martina L. Kinga, Dalajlamy. Ale także w głosy ludzi wokół. Co mówią? Czego pragną? Uczę się i obserwuję. Widzę i uznaję, jakie mam zasoby do zaoferowania Polsce. Jednocześnie uczę się i pokory, i uznawania siebie". Gratulujemy p. Dominice „pokory i uznawania siebie". Trzeba jej jednak przyznać wyższość nad niegdysiejszą kandydatką na ten urząd, Hanną Gronkiewicz Waltz, która radziła się tylko Ducha Świętego.

Mało kto słyszał też o pochodzącym z Wielkopolski Wschodniej Eugeniuszu Maciejewskim. Ten 70-letni obywatel jest prezesem społeczno-politycznej partii PIAST – Jedność Myśli Europejskich Narodów i Świata. Z nazwy kanapy, której przewodzi, można by sądzić, że to ludowiec – tym bardziej że hymnem organizacji jest „Rota". Człowiek wielu talentów: rolnik, policjant, żołnierz, ba – piekarz i ciastkarz nawet. Bez sukcesu jednak wielokrotnie startował w wyborach parlamentarnych i samorządowych. Bezskutecznie próbował również zostać burmistrzem Turku.

Wspomniani kandydaci na strażnika żyrandola to garść przypadkowo wybranych uczestników tej gonitwy – ani gorszych, ani lepszych od wielu innych. To zapewne ludzie, którzy wiele dobrego robią w swoich małych ojczyznach. O innych nic nie wie nawet wszechwiedzący wujek Google. Internet huczy zaś nazwiskami przewodzących stawce championów.

Karol Nawrocki jest w tej stawce o tyle interesujący, że jeszcze parę miesięcy temu jego miejsce byłoby wśród przywołanych wyżej postaci, z twarzy podobnych zupełnie do nikogo. Najpierw Nawrocki był obywatelski – bo zgłosił go obywatel Kaczyński; teraz, kiedy nie nadąża w sondażach za PiS, stał się kandydatem partyjnym, bo zgłosił go prezes Kaczyński. Może i pralki potrafi przenosić, dać komuś w mordę też – ale Polska potrzebuje na tym stanowisku mądrego dyplomaty, a nie osiłka z szemranymi kontaktami i niepokojącym alter ego przedstawiającym się jako Tadeusz Batyr, znawca świata przestępczości zorganizowanej.

Tadeusza Batyra, pieszo i na hulajnodze, skutecznie goni Sławomir Mentzen. To chyba najbarwniejsza postać tej prezydenckiej kampanii. Jak jego wcześniejszy guru Janusz Korwin-Mikke, Mentzen kandydował na wszelkie możliwe do objęcia stanowiska i funkcje, zmieniając po drodze nazwę partii, a także modulując na społeczne zapotrzebowanie jej profil ideologiczny. Na sukcesy polityczne, podobnie jak Korwin-Mikke, musiał czekać jednak bardzo długo. W 2018 r. kandydował bez powodzenia na prezydenta Torunia. W 2019 r. bezskutecznie startował do Parlamentu Europejskiego. Dziś pytany o słynną „piątkę Mentzena" chowa głęboko w zanadrzu swą rozcapierzoną dłoń i prosi o mądrzejsze pytania albo na jednośladzie przed wyborcami umyka. Poparcie mu jednak rośnie z sondażu na sondaż – a przecież Mentzen nie zmądrzał, to raczej elektorat głupieje.

O pozycję na podium z Mentzenem próbuje walczyć, mało jednak skutecznie, marszałek sejmu RP. Hołownia jaki jest, każdy widzi. Wystarczy jedno jego zdanie: że jako prezydent ogłosiłby pięcioletnie moratorium na wszelkie spory światopoglądowe i wetowałby ustawy dotyczące tych kwestii. Dwa nowicjaty u dominikanów – i dwukrotna rejterada – wskazują, że marszałek być może wyszedł z Kościoła, ale zaściankowy kościółek z pana Hołowni raczej nie wyjdzie.

Nie sposób na tych łamach nie wspomnieć o kandydatach lewicy. Magdalena Biejat – w świecie polityki smarkula, bo ledwo przekroczyła czterdziestkę – posiada zauważalny dorobek. Ta zawodowa tłumaczka literatury hiszpańskojęzycznej i działaczka społeczna z powodzeniem startowała do sejmu w roku 2019 i do senatu w 2023; dziś jest wicemarszałkiem izby wyższej. Notowania w rankingach ma jednak słabe. Dopatrywać by się tu można przyczyn kilku. Do bratobójczej walki stanęło dwoje kandydatów reprezentujących dwie partie, które jeszcze chwilę temu tworzyły jeden klub parlamentarny.

Kampania – tak Biejat, jak i Zandberga – jest jednak niemrawa, żeby nie powiedzieć żadna, i obydwoje, łeb w łeb, ciągną się w ogonie stawki. Z łba i ogona całego czarnego konia zrobić się nie da!

Lewica swoje słuszne, aczkolwiek mało nośne w społecznym odbiorze postulaty wrzuca na transparenty, nie bacząc na populistyczne slogany partii wygrywających wybory. Ludzie! Lewico! Nauczcie się wreszcie kłamać! Tylko kłamcy wygrywają wybory!

Lewica, wystawiając kobietę, zrobiła kolejny gest na rzecz poprawności politycznej. Nie wyciągnęła wniosków z niefortunnej kandydatury Małgorzaty Kidawy-Błońskiej (KO). Można przypuszczać, że lud nie dorósł jeszcze do progresywnych ideałów, a baby – w odróżnieniu od kobiet – wciąż głosują raczej na kandydatów przystojnych i okazałych niż poprawnych politycznie. Nie wiem, jakie notowania miałby dziś np. Włodzimierz Czarzasty – ale jemu zawsze ujdzie powiedzenie, że „ma to w dupie", które pani marszałek nijak jednak nie przystoi.

W ten piątek mija termin zgłaszania kandydatów – a tak naprawdę składania podpisów, których minimalna wymagana liczba to 100 tys. Warto się nad tym zastanowić.

Z 44 komitetów, które zarejestrowały się na początku wyścigu, większość już odpadła. Gdyby jednak wszyscy chętni na tron pod żyrandolem sprężyli się tak jak Karol Nawrocki – efekt byłby przerażający.

Nawrocki zebrał 1,3 mln obywatelskich autografów. To mniej więcej 110 tys. kartek A4; 220 ryz i grubo ponad pół tony papieru w makulaturę zamienionego. Gdyby te kartki poparcia ułożyć na mateczce ziemi jedna za drugą, to można by papierowym chodnikiem przejść ponad 30 kilometrów. Gdyby, nie daj Boże, wszystkich 44 kandydatów zebrało tyle podpisów, co Tadeusz Batyr, to papierowy chodnik miałby przeszło 1400 kilometrów, a kartki ułożone jedna na drugiej ważyłyby 24 tony i pozwoliłyby postawić wieżowiec wysoki na 475 m., który byłby 2,5 raza wyższy od planowanych wież Kaczyńskiego. Ot taki papierowy tygrys Europy.

TADEUSZ GAWLIK

Poczet perfidentów polskich

Jak nas robią w ciula

Rys. WIDGET

W chuja granie też zadanie – twierdzili starożytni mędrcy. Ta sentencja kołacze mi po głowie, gdy obserwuję świat wokół mnie. Czasami muszę się uszczypnąć, aby mieć pewność, że to, co widzę i słyszę, dzieje się naprawdę, a nie jest wytworem chorej wyobraźni, wręcz snem wariata. W morzu manipulacji – czasem tępej, czasem nieco wyższych lotów – trudno znaleźć suchy ląd zdrowego rozsądku, a żeglowanie pomiędzy rafami idiotyzmów, kłamstw, półprawd nie jest łatwe.

Normalny człowiek reaguje na to wszystko zwykle zniechęceniem, nucąc sobie słowa piosenki kieleckich raperów ze Wzgórza Ya-Pa-3: „Ci z góry to mafia, rządzą tym krajem tak, aby wszyscy zarżnęli się nawzajem".

Czasem jednak warto sięgnąć po mapę tego całego szachrajstwa, aby wieść bardziej rozumne życie, wyczuwać pismo nosem, gdy za zasłoną słodkich słówek, abstrakcyjnych sloganów (ostatnio żre rzekoma troska o bezpieczeństwo narodowe) kryją się twarde interesy cynicznych graczy. I dlatego z mojej bogatej biblioteczki wyjęłam książkę „O perfidii" opublikowaną przed laty przez prof. Mirosława Karwata z Uniwersytetu Warszawskiego.

Perfidia – zauważa akademik – to wyrafinowany gatunek manipulacji. Określenie to pochodzi od łacińskiego słowa *fides* – władza. Dosłownie to tyle, co sprzeniewierstwo, wiarołomstwo. Powtórzę za Karwatem: „Perfidia to wyjątkowa podstępność działania połączona z wyjątkową szkodliwością dla ofiary, a zarazem z potencjalną bezkarnością sprawcy, z trwałością i kumulacją wyrządzonych szkód (łańcuch szkód uruchomiony na podobieństwo samonapędzającej się machiny lub pęczniejącej kuli śnieżnej) oraz trudnością ich usunięcia".

Szczerze mówiąc, w głębokim poważaniu mam sytuację, gdy jeden polityk zrobi w ciula drugiego polityka, czy to z własnego obozu (patrz miłość między Zbigniewem Ziobrą a Mateuszem Morawieckim), czy innego. Jak wiadomo, kruk krukowi oka nie wykole… Interesuje mnie, jak perfidenci (czyli ludzie perfidni) oszukują swoich wyborców w szczególe i całe społeczeństwo w ogóle. Ja doskonale wiem, że idzie im tylko o władzę, ale straty uboczne w postaci zidiocenia czy apatii ludzi mogą być niepowetowane.

Mentzen mąci

Perfidią jest sposób działania wymyślnie złośliwy i wiarołomny. Wedle Karwata: „Wymyślna postać złośliwości wiąże się z tym, że ów wrogi cel osiągamy dzięki nadużyciu zaufania do osób i grup społecznych, do instytucji lub zasad i norm społecznych traktowanych jako gwarancje i narzędzia kontroli, dzięki naruszeniu i nierzetelnemu wykorzystaniu pewnych reguł, złamaniu dotychczasowych gwarancji cudzego lub wspólnego bezpieczeństwa, niedotrzymaniu własnych zobowiązań".

eprasa.pl 697f4c9371

Feminizm kontra fanatyzm pod prezydenckim okiem

Jaja Trzaskowskiego

Od kilku dni z grymasem obrzydzenia obserwuję medialną ejakulację nad książką „Rafał. Rafał Trzaskowski w rozmowie z Donatą Subbotko" (Wyd. Znak), która ukaże się 9 kwietnia. Fragmenty dzieła, które ma uczłowieczyć sylwetkę kandydata na prezydenta w oczach potencjalnych wyborców spoza Warszawy, pojawiły się w „Gazecie Wyborczej" oraz programie Arlety Zalewskiej „W kuluarach" stacji TVN.

Dzięki obszernym cytatom możemy się dowiedzieć, że mały Rafał już na starcie miał przegwizdane, ale się nie poddał: „Byłem wcześniakiem i miałem umrzeć, słaby, nieodporny, nie chciałem jeść. Odratowała mnie położna, która karmiła mnie łyżeczką. Powiedziała, że przeżyję, ale do końca życia będę mały i cherlawy". Czytamy też o trudnym doświadczeniu utraty dwóch ciąż małżonki Małgorzaty. Na okoliczność tych dramatycznych wspomnień Trzaskowski w wywiadzie rzece skwapliwie przypomniał, że jest zwolennikiem liberalizacji prawa aborcyjnego w Polsce, a wprowadzone przez PiS przepisy nazwał torturowaniem kobiet.

Można powiedzieć: ziobro zaskoczenia, bo hasła o prawach kobiet są wmontowane w każdą kampanię jak próchnica w polskie szczerbate uśmiechy. Tym razem jednak głupio wyszło, bo kiedy platformiany beniaminek przehandlował ciężką prywatę na potrzeby dopieszczenia elektoratu, w centrum zarządzanej przez niego Warszawy pod przychodnią aborcyjną „Abotak" trwała trzecia bitwa Aborcyjnego Dream Teamu z obrońcami zygot.

8 marca pod adresem Wiejska 9, w bliskim sąsiedztwie sejmu, otworzyła swe podwoje pierwsza w Polsce placówka aborcyjna. Idea „Abotak" jest prosta: skoro politycy nie potrafili dotrzymać słowa w sprawie powszechnego dostępu do skrobanek, aktywistki z Aborcyjnego Dream Teamu zrobiły to za nich. Na miejscu nie ma lekarzy i pielęgniarek, ale każda chętna osoba może sobie zrobić test ciążowy, otrzymać prezerwatywy albo dostać i zażyć tabletki aborcyjne. Jak tłumaczą założycielki pierwszej tego typu stacjonarnej przychodni w kraju, „chociaż wiele z was woli przerwać ciążę tabletkami w komforcie własnej łazienki, to nie dla wszystkich jest to możliwe". Dlatego „Abotak" dysponuje specjalnie przeznaczonym do połykania tabsów pomieszczeniem zwanym pieszczotliwie – od leków zalecanych przez WHO do usunięcia niechcianego lokatora z macicy – „mizolatką".

Miejsce ulokowania placówki zostało wybrane nieprzypadkowo. Dziewczyny z ADT uznały, że bliskość Kancelarii Prezydenta, biura krajowego Platformy Obywatelskiej i wspomnianego sejmu skłoni polityków do odwiedzin w przychodni, gdzie wolontariuszki cierpliwie wytłumaczą, że ciąże są usuwane bez względu na decyzje, jakie zapadają po drugiej stronie ulicy i nigdy nie jest za późno, żeby te zostały zmienione na właściwe.

„Abotak" na początku działalności odwiedziły parlamentarzystki lewicy – kandydatka na prezydenta Magdalena Biejat i posłanka Dorota Olko oraz Marcin Józefaciuk, poseł Koalicji Obywatelskiej. Niestety, od blisko miesiąca zamiast polityków pod lokalem przy Wiejskiej 9 gromadzą się krucjaty ultrakonserwatywnych fundamentalistów z płodolubnej inicjatywy CitizenGO z Robertem Bąkiewiczem i Kają Godek na czele – i robią chlew.

Artykuł 57 konstytucji każdemu zapewnia wolność organizowania pokojowych zgromadzeń i uczestniczenia w nich. Jednak dziwnym trafem ci, którzy namiętnie posmarkiwali o rzekomym wsadzaniu do pierdla na zgniłym Zachodzie niewinnie modlących się po cichutku pod klinikami aborcyjnymi prolajferów, sami uznali, że klepanie zdrowasiek do ich Boga ma za słaby potencjał, i odpalili zgoła inny arsenał. Oprócz starych dobrze znanych transparentów z wizerunkiem Hitlera i elementami flaków mających przypominać rozszarpany płód, armia katolickich terrorystów postawiła na wuwuzele i szczekaczki, z których emituje płacz bachorów wymieszany z fragmentami modlitw. Poziom hałasu generowanego przez katolibów przekracza 120 dB – dla porównania to tyle co młot pneumatyczny.

W dniu otwarcia przychodni jedna z wchodzących do niej kobiet została oblana czerwoną farbą, jakiś czas później przed lokalem rozlano stężony kwas masłowy. Ten organiczny związek chemiczny emituje potworny smród, a na dokładkę stwarza poważne zagrożenie dla zdrowia – w przypadku kontaktu ze skórą wywołuje oparzenia, ból, pieczenie, a także rozległe zmiany skórne. Może również uszkodzić oczy, a w skrajnych przypadkach doprowadzić do utraty wzroku.

W trosce o bezpieczeństwo pacjentek, sąsiadów kliniki i swoje zawiadomienia na policję złożyły działaczki Aborcyjnego Dream Teamu. 19 marca kolejnym zawiadomieniem do służb wsparła je minister Katarzyna Kotula. Lokatorzy mieszkań sąsiadujących z „Abotak" nagminnie wydzwaniają na komendę, bo hałas oszołomów wykrzykujących przez głośniki hasła o ludobójczej katowni uniemożliwia im normalne funkcjonowanie. Starsze osoby czują się sterroryzowane i mają obawy przed opuszczeniem własnych domów.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Policja ma jednak solidarnie wszystkich w dupie, bo miasto wydało zgodę na protest. Co więcej, warszawski ratusz od trzech tygodni nie reaguje na zgłoszenia problemu ani nie pokusił się o wysłanie obserwatora,

który zobaczyłby na miejscu, z czym mierzą się mieszkańcy i personel kliniki. Bo tak.

Liderki Aborcyjnego Dream Teamu przygotowały internetową petycję do władz Warszawy „Stop nękaniu kobiet", z pytaniem, czy ratusz i polska policja zaczną reagować adekwatnie do zagrożenia, nim komuś stanie się krzywda. Pytają również: „Czy kandydat KO na prezydenta, który w kampanii obiecuje legalizację aborcji, potrafi zareagować na nękanie nas i mieszkańców Wiejskiej 9?" Dołączam się do pytania: panie Trzaskowski, pokażesz, że oprócz kieszeni pełnych frazesów masz pan też jaja?

IDALIA DUBICKA

Chwyćmy byka za rogi i ukażmy to na przykładzie polityka, który ostatnio jest na fali i ma realne szanse na wejście do drugiej tury wyborów prezydenckich, a może i fuchę strażnika: Sławomira Mentzena.

Umiejętnie gra on na fobiach społecznych i nucie nacjonalistycznej. Na spotkaniu w Ząbkowicach Śląskich grzmiał: „Polacy zasługują na prezydenta, który dba przede wszystkim o polskie interesy, a nie zagraniczne. Jeśli zostanę prezydentem, to wszyscy – Niemcy, Ukraińcy – będą musieli dostosować się do polskiego prawa, polskich interesów, polskiej kultury i polskiego języka".

W ten sposób sprawdza się mądrość ludowa: gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Gdy od lat PiS i PO przerzucają się oskarżeniami o zdradę narodową, mówiąc niekiedy wprost, że ich przeciwnicy służą Moskwie czy tam Berlinowi lub Brukseli, a ostatnio – Kijowowi, Mentzen perfidnie wtóruje temu wzajemnemu obrzucaniu się gównem w ramach PO–PiS-u, przyznając rację obu stronom. I podsyca te napięcia, znacząco wspominając o Niemcach i Ukraińcach, którzy (jak sugeruje) obecnie nie dostosowują się „do polskiego prawa, polskich interesów, polskiej kultury i polskiego języka".

Sławomir M. przyswoił sobie zapewne arabskie przysłowie: przez powtarzanie nawet osły się uczą. Jesteśmy oblężoną twierdzą, nasze elity służą obcym interesom, dlatego jest tak źle. W Polsce Polak ma być panem, obcy – won!

Na tym samym spotkaniu konfederata powiedział, że odrzuci Zielony Ład, więc „spadną rachunki za prąd i ogrzewanie". Mentzen jest tu wymyślnie złośliwy: wybudowane za Gierka elektrownie nieuchronnie kończą swój żywot, a on sam gorąco popiera budowę przez Amerykanów elektrowni atomowej za publiczne pieniądze. Zabawne, nikt nie ma pojęcia, kiedy prąd z niej popłynie ani jaka będzie jego cena. Ale przecież to bez znaczenia w obliczu tego, że wielu ludziom doskwierają koszty energii elektrycznej i ogrzewania.

Jak ujmuje to Karwat, perfident działa „w skutkach destrukcyjnie (zakładając z góry czyjąś szkodę lub zgubę, a nawet czyniąc wszystko właśnie z zamiarem zniszczenia). Działanie prawdziwie perfidne jest dla innych nie tylko szkodliwe, ale trwale szkodliwe, wręcz trucicielskie". Nie ma żadnej przesady w twierdzeniu, że trucicielskie jest ogłupianie ludzi, że od prezydenta zależą ceny prądu, a Mentzen niby czarnoksiężnik z Krainy Oz rozwiąże palące problemy polskiej energetyki, które wynikają z dekad zaniedbań.

Tusk jątrzy

O Saddamie Husajnie mówiono, że zdobycie i utrzymanie przezeń władzy wiązało się z faktem, że grał on gościa 10 proc. twardszego od najtwardszych konkurentów w kraju. Baczna obserwacja sytuacji politycznej w naszym kraju po rosyjskiej inwazji na Ukrainę pokazuje, że w Polsce wytworzyła się analogiczna kultura polityczna.

Symbolem tego są coraz bardziej perfidne działania premiera Donalda Tuska pozującego na najostrzejszego zakapiora w okolicy – w tym wrzaskliwy atak na opozycję, oskarżaną wręcz o zdradę narodową. Nieprzesadnie mnie interesuje los PiS-u i Konfederacji, lecz kreowanie atmosfery paniki moralnej nie służy społeczeństwu.

Tu sięgnijmy znów do książki „O perfidii": „Asekuracyjna gra pozorów, kamuflaż intrygi, wykrętu lub zwykłego sabotażu, wiarołomstwo owocujące zaskoczeniem i rozbrojeniem ofiary – wszystko to jest możliwe i skuteczne dzięki spożytkowaniu dusznej atmosfery zakłamania (zakłamania samej ofiary, jej środowiska i oczywiście spiskowca), dzięki zręcznemu rozgrywaniu nieszczerości w stosunkach między ludźmi w danym środowisku (ukrytej rywalizacji, zawiści itp.)".

„Duszna atmosfera zakłamania" to niejako naturalne środowisko prawicowej opozycji. Kiedy 12 marca konfiarze i pisowcy w Parlamencie Europejskim nie poparli uchwały wspominającej o tzw. Tarczy Wschód, mającej bronić UE przed Rosją (choć niewiele wskazuje, by ta chciała jej członków zaatakować), Tusk ruszył do boju, mówiąc: „Trzeba nazwać rzecz w sposób jasny i prosty (…) dwie główne siły opozycyjne w Polsce – PiS i Konfederacja – zagłosowały przeciwko projektowi, który w przyszłości będzie koszmarem Putina. Dla Putina koszmarem jest zjednoczona Europa wokół sprawy bezpieczeństwa, Europa, która decyduje się na dużo większych pieniędzy, w tym unijnych pieniędzy na dozbrojenie".

Tusk postanowił grać znaczonymi kartami, skądinąd dokładnie w sposób, jaki stosował latami rząd Morawieckiego: nie kłóćmy się, bo przyjdzie Putin i nas zje. Wszyscy zjednoczmy się teraz wokół władzy, akurat – zupełnie przypadkowo – wokół władzy Tuska.

I zaczął się szantaż premiera: „To było głosowanie za tym, czy Polska będzie samotna wobec rosyjskiego zagrożenia, czy będziemy razem z tą Europą skutecznie odstraszali Putina".

Nie mając większych sukcesów w realizacji obietnic wyborczych, premier zaczął podbijać bębenek nacjonalizmu i jedności narodowej, przenosząc dyskusję o Tarczy Wschód do sejmu, gdzie napominał: „Mówiąc krótko, dzisiaj, jak będą głosowali tę uchwałę, no wiem, ona nie ma praktycznych konsekwencji, ale jest możliwością naprawienia reputacji, a powiem mocniej, zmycia hańby z tych, którzy głosowali w Europie przeciwko bezpiecznej Polsce, przeciwko bezpiecznej wschodniej granicy"…

Kiedy opozycyjna prawica znów była, tym razem w sejmie, przeciwko Tarczy Wschód, premier skwitował to krótko: „Wybrali hańbę". PiS próbował PR-u kryzysowego, zgłaszając konkurencyjny projekt uchwały (ws. ochrony polskiej suwerenności), który abstrahował od rezolucji PE, lecz jego projekt przepadł. Krzysztof Bosak przekonywał, że koalicja rządząca prowadzi kampanię dezinformacyjną, bo rezolucja PE nie zapewnia finansowania Tarczy Wschód. Prezes Kaczyński dopieścił swojego ulubionego konika: „Obecnie rozgrywa się operacja zmierzająca do tego, żeby zmienić Unię Europejską w państwo, i to państwo scentralizowane, pod kierownictwem Niemiec i Francji. My się temu przeciwstawiamy".

Nawet niektórzy pisowcy przyznali, że nie spodziewali się takiej skali grillowania ze strony Tuska w sprawie głosowania nad rezolucją, która nie ma żadnej mocy wiążącej dla nikogo, jest wyłącznie wyrażeniem opinii.

Brońmy się!

Poza sporem pozostaje, że perfidia – niczym biblijni ubodzy – zawsze będzie pośród nas. Wiele zrozumiałych, jakkolwiek nie zawsze chwalebnych ludzkich odruchów – strach przed obcymi, niechęć do płacenia podatków, wrogość wobec wszystkiego, co nam jakoby zagraża (nie ma większego znaczenia, czy to wyzwolone kobiety, osoby transpłciowe, ludzie w jakikolwiek sposób odmienni od nas) – bywa perfidnie wykorzystywanych przez polityków.

Jak trafnie zauważa Karwat, perfidne działanie to po prostu knucie stanowiące symbiozę zwodzenia i ukąszeń. Zwodzeniu służy obłuda, bigoteryjna wieloznaczność zachowań i wykręt jako zręczny unik w działaniu narażonym na dezaprobatę. Perfidia króluje w środowisku naznaczonym zakłamaniem: „To, co nazywamy hipokryzją, ma jednak dwa oblicza. Z jednej strony, może to być samozakłamanie – ucieczka w świat złudzeń, autocenzury, żmudnej gry pozorów w imię »świętego spokoju«, nie tyle dla korzyści i wygody, ile z obawy przed tym, czego mi czynić nie wypada (choć bardzo chciałbym, choć nęci i kusi) i przed tym, »co ludzie powiedzą«. Za tym kryje się nieautentyczność naszych wcieleń i póz, zahamowania, lęk przed prawdą o samym sobie".

Nie jestem naiwna, nie oczekuję, aby wszystkich perfidentów postawić pod pręgierzem opinii publicznej i wsolić im na gołą dupę – symboliczne, a może i dosłowne – 50 batów. Ale warto być świadomym, że choć – jak mawiają myśliciele – w chuja cięcie też zajęcie, to jednak warto zachować zdrową czujność w obliczu oceanu wiarołomstwa, w jakim pływa rodzima polityka.

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 697f4c9371

Mottem i misją

Wiadomo, że żeby namówić na seks, dobrze jest powiedzieć „kocham cię”. Ale po co łgać, gdy jest się urzędem, szkołą czy szpitalem?

Przez ćwierć wieku wszyscy śmiali się, że w Polsce najwięcej osób studiuje marketing i zarządzanie. Teraz już nikt się nie śmieje, bo mądrości speców od pustosłowia stały się standardem. Fachowcy od uzasadniania własnych posad na różnych uczelniach biznesowych stworzyli własne naukowe lobby, gdzie jedni przytakują drugim. Tylko po to, żeby móc mieć wykłady, publikacje i kolejne tytuły w księgarniach. Dzięki temu wprasowano do głów menedżerom, że każda szanująca się firma musi mieć misję i kierować się wartościami. Fajnie, gdy do tego dorzuci coś o społecznej odpowiedzialności biznesu. No i motto firmy. A wszystko to w ramach „ładu korporacyjnego”, czyli nic nieznaczącej zbitki słów, która jednak – zdaniem wierzących w te bzdury – brzmi na tyle dobrze, że nawet warsztaty szewskie chcą coś takiego mieć.

Nikt nie zwrócił uwagi, że pies z kulawą nogą tych wypocin nie czyta, bo każdy petent czy klient wie dobrze, czego szuka w tej czy innej placówce. A skoro tak, to motta, misje i takie tam po prostu nie mają żadnego sensu. Niestety, zdrowy rozsądek to dla fanatyków marketingu herezja.

Łańcuchem wartości do szamba

„Aby być szczęśliwy – uszczęśliw innych” – to nie hasło agencji towarzyskiej bynajmniej. To motto firmy Jandrew od 1994 r. zajmującej się produkowaniem mebli z drewna sosnowego. „Nigdy nie podpisałbym się własnym nazwiskiem pod produktem, który nie ma w sobie tego, co jest najlepsze we mnie” – myśli ktoś, że ten stek banałów pochodzi ze stron producenta androidów, albo syntetycznych organów do przeszczepu? Pudło! Tak brzmi motto biura rachunkowego ze Słupska. I jeszcze paru innych firm, jak choćby takiej od paneli podłogowych z Makowa Podhalańskiego. A żeby było jeszcze zabawniej, firmy te same tego nie wymyśliły, bo ponad 100 lat temu motto to wypowiedział John Deere, założyciel giganta produkującego sprzęt rolniczy.

Dzięki geniuszom od bredni korporacyjnych na stronie internetowej IQ Metal nikt nie jest w stanie zrozumieć, co ta firma robi. Chyba że ktoś rozumie, co znaczy taka oto fraza: „Jeżeli chodzi o usługi, udzielamy fachowej pomocy z dziedziny prototypowania, inżynierii, projektowania, zaopatrzenia, przygotowania produkcji i wsparcie łańcucha wartości naszych partnerów. Sprowadza się to do zintegrowanych rozwiązań, gdzie będziemy Państwa długoterminowym partnerem, co spowoduje zwiększenie wartości waszych klientów”. Wiadomo zaś, że motto firmy to „Jutro lepsze niż dziś”, a jej „celem jest zwiększenie Państwa wartości wkładu poprzez redukcję kosztów łańcucha wartości”.

Z firmą Centroplast jest prościej. Piszą: „Już od 28 lat konsekwentnie realizujemy motto naszej firmy »naturalnie dobre rozwiązania«”. Robiąc plastikowe szamba.

Kiedyś misję Piekarni Cukierni Kołacz z Nowego Dworu Mazowieckiego określało zdanie „Potrzeby i oczekiwania Klientów tworzą naszą ofertę”. Ale już nie określa. Banał stał się bowiem mottem firmy MW Rafin. Skądinąd słusznie, bo oferta ta sprowadza się do zrozumiałego przecież dla każdego „badania jednostkowych sprawozdań finansowych nie JZP sporządzonych wg UoR i badania skonsolidowanych sprawozdań finansowych mniej złożonych grup kapitałowych nie JZP sporządzonych wg UoR”.

Expo-Jag ma motto: „Profesjonalna Obsługa. Optymalne Rozwiązania. Zadowolony Klient”. Bo, widać, bez takiego motta sprzedaż maszyn rolniczych i części zamiennych na pewno by firmie nie szła.

Gdybyście mieli wybór, to czy skorzystalibyście z firmy, której mottem jest „świadczenie najwyższej jakości usług”? Czy może takiej, której bojowe zawołanie brzmi „Twoje troski pod naszymi skrzydłami”? Pamiętając przy tym, że obie firmy są zakładami pogrzebowymi.

Bankowcy do baniek

Bank jest od tego, żeby wycisnąć z klientów, ile się da i dać zarobić właścicielom? Nie otóż. Bank Millenium taki nie jest. Jemu nie chodzi o zysk. On ma misję. Wyrażoną takim oto zdaniem: „Wspieramy klientów w osiąganiu finansowego sukcesu dzisiaj i w przyszłości”. Wypracowanie 719 mln zł czystego zysku w 2024 r. było więc dla banku zupełnym przypadkiem.

Bank Pekao nie wiadomo jak w tamtym roku zarobił 6,376 mld zł, bo też nie jest od zarabiania, tylko od realizowania swojej misji. Pisze przecież: „Pomagamy spełniać marzenia i realizować pasje”.

Trudno się temu dziwić, bo mBank – którego profity za 2024 r wyniosły 2,243 mld zł – też zyski ma gdzieś. Przecież „Misja mBanku koncentruje się na klientach”.

To może na pieniądzach zależy dawnemu bankowi Morawieckiego? Gdzie tam! 5,21 mld zł zysku było na pewno przypadkiem, bo misją Santandera jest: „Pomaganie Klientom indywidualnym i biznesowym w osiąganiu codziennych sukcesów”.

Banku, który od lat dzierży u nas palmę pierwszeństwa w liczbie klientów, czyli PKO BP, wypracowywanie miliardów dla akcjonariuszy również nie interesuje. W misję wpisali sobie wszak: „Jesteśmy dumni z naszej historii i polskich korzeni”. I słusznie, skoro tylko po trzech kwartałach zeszłego roku mieli już 6,9 mld zł zysku.

Deweloperów kasa też nie interesuje. Więc misją Dom Development „jest wspieranie Klientów w spełnianiu marzeń o własnym mieszkaniu, a ich zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa to największa satysfakcja z naszej pracy”. Klienci uwierzyli, więc firma sprzedała w 2024 r. 4269 lokali, co jest najwyższym wynikiem w całej jej 29-letniej historii. Niemal 300 mln zł zysku po trzech zeszłorocznych kwartałach było pewnie wypadkiem przy pracy.

Firmie JW Construction się chyba nawet już budować nie chce. Inaczej nie pisaliby, że „Naszą misją jest dostosowywanie bieżącej polityki sprzedażowej do zmian wynikających z regulacji rządowych i sytuacji makroekonomicznej w kraju”. Jakim więc cudem zarabiają dziesiątki milionów złotych rocznie?

W każdej książce do ekonomii można przeczytać, że w kapitalizmie firma jest od tego, żeby przynosić zysk. No, chyba że wymyśli sobie formułę non profit i produkuje po kosztach. Orlen non profit nie jest, a mimo to w jego misji nie ma ani słowa o wypracowywaniu dywidendy dla akcjonariuszy. To po co właściwie istnieje Orlen? Bo „Napędzamy przyszłość. Odpowiedzialnie” – piszą jego marketingowcy. Widocznie wstydzą się zeszłorocznych 43 mld zł najczystszego zysku.

Lekarze do leków

Nadmiar absolwentów marketingu i zarządzania obsiadł oczywiście i instytucje publiczne. „Szpital tworzą ludzie, by pomagać ludziom” – to to, czym kieruje się Wojewódzki Specjalistyczny Szpital im. dr. Wł. Biegańskiego w Łodzi. I dlatego jak komuś coś jest, to niech szuka takiej placówki, która robi to, co szpital robić powinien, czyli leczy. Pomaganiem niech się zajmują MOPS-y i organizacje charytatywne.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Ostrożnie ze Szpitalem Wielospecjalistycznym w Gliwicach. Skoro napisali: „Naszą wizją jest stać się jedną z najbardziej profesjonalnych, odpowiedzialnych i przyjaznych pacjentowi placówek ochrony zdrowia, gwarantujących bezpieczeństwo oraz najwyższy poziom usług medycznych”, to może lepiej poczekać, aż tacy będą. Bo na razie kurowanie chyba wychodzi im średnio i dlatego miast o sukcesach w leczeniu piszą: „Naszym celem jest zapewnienie wszystkim przebywającym pod naszą opieką poczucia bezpieczeństwa, komfortu oraz przyjaznej domowej atmosfery”.

„Dla Was Pacjenci nasza wiedza… ręce… serca…” – stoi na stronie szpitala w Sierpcu. A gdyby komuś było tego za mało, to dodają: „Pacjent naszym przyjacielem, a jego zdrowie najwyższą wartością”. Dzięki tym tekstom każdy Polak winien postarać się mieć wylew czy zawał albo połamać się właśnie w tym mieście.

„Piękno nie jest zbytkiem, lecz niezbędnym warunkiem pełnego rozkwitu i zharmonizowania funkcji psychicznych” – to zdanie nie pochodzi z żadnego muzeum sztuki, galerii, ani nawet jakiejś ASP. To motto Szpitala Neuropsychiatrycznego im. Kaczyńskiego w Lublinie. Profesora Mieczysława Kaczyńskiego.

Szkoła powinna uczyć. I uczy. Najczęściej powtarzanego bezmyślnie banalnego pustosłowia. Dlatego niemal każda z nich ma motto, tak jak SP nr 2 w Nowym Targu, w której chyba niczego nie uczą, skoro wyznają zasadę: „Szkoła bezpiecznym miejscem, w którym dziecko czerpie radość z wszechstronnego rozwoju i czuje się cennym elementem społeczności szkolnej”.

Urzędy gminne od szkół nie mogą być gorsze i zamiast robić to, co każą im ustawy tudzież rozporządzenia, misję mieć muszą. Misją Urzędu Gminy Mokrsko jest „skuteczna i profesjonalna realizacja zadań publicznych w zakresie zaspokajania zbiorowych potrzeb mieszkańców”. Misją urzędu miasta w Grodkowie jest „jak najlepsze realizowanie zasad samorządności lokalnej ukierunkowane na stałe podnoszenie poziomu życia mieszkańców, a w szczególności świadczenie usług administracyjnych i municypalnych jak najwyższej jakości oraz realizacja i wspieranie działań na rzecz rozwoju gminy”. Prawda, że jak by tego nie napisali, to nikt by na to nie wpadł?

Jeśli ktoś ma jeszcze ochotę poczytać wymiotne, nieczytane przez nikogo frazesy, to proszę bardzo.

„Urząd to sprawna organizacja, którą tworzą ludzie skutecznie działający na rzecz społeczeństwa województwa” – misja Urzędu Marszałkowskiego Województwa Łódzkiego.

„Misją Ministerstwa Infrastruktury jest kreowanie i realizacja polityki państwa w zakresie polskiego systemu transportu, gospodarki morskiej i wodnej oraz zapewnienie obywatelom RP dostępu do nowoczesnej infrastruktury i wysokiej jakości usług zrównoważonego systemu transportowego, odbudowa przemysłu stoczniowego i zwiększanie bezpieczeństwa systemu transportu”. Ciekawe, ile nad tym myśleli.

„Tworzenie warunków dla bezpiecznej i profesjonalnie zarządzanej migracji” – misja Urzędu do spraw Cudzoziemców.

„Naszym celem jest doprowadzenie do tego, żeby dzięki cyfryzacji ludziom żyło się lepiej” – misja Ministerstwa Cyfryzacji.

„Misją Ministerstwa Spraw Zagranicznych jest realizowanie interesów Rzeczypospolitej Polskiej poprzez współpracę w Europie i świecie na rzecz bezpieczeństwa, demokracji i rozwoju”. Odkrywcze, nieprawdaż?

Ale gdyby ktoś jeszcze nie miał dość, to MSZ – jak każda szanujące się korporacja, sklep spożywczy czy zakład pogrzebowy – ma oczywiście i motto: „Polsce – służyć, Europę – tworzyć, świat – rozumieć”.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie w dobrobycie

● Produktywność to taka ekonomiczna wartość, która wychodzi, gdy podzieli się PKB na roboczogodziny przepracowane przez wszystkich, aby je wytworzyć. Analitykom z Ernst & Young wyszło więc, że pomiędzy czwartym kwartałem 2019 a drugim kwartałem 2024 r. produktywność w Polsce wzrosła o 9,6 proc. a w tym samym czasie w Stanach Zjednoczonych urosła tylko o 7,3 proc. Efektywność Polaków jeszcze lepiej wygląda na tle Europy Zachodniej. W Niemczech produktywność w tym okresie wzrosła o zaledwie 0,7 proc., w Wielkiej Brytanii o 2 proc., a we Francji spadła o 1,5 proc. Żeby nie było, że jesteśmy niedościgli, to trzeba dodać, że najszybszy wzrost PKB na przepracowaną godzinę był na Malcie – 18,7 proc. oraz w Słowacji – 12,3 proc. Fachowcy zawsze twierdzili, że produktywność najszybciej rośnie tam, gdzie pojawiają się najnowocześniejsze technologie. Ciekawie ta teza wygląda, gdy się wie, że najbardziej dynamiczny przyrost produktywności w latach 2019–2024 widać u nas w niekoniecznie technologicznym sektorze rolnictwa, leśnictwa i rybołówstwa – 37,1 proc. w latach 2019–2024 wobec 9,1 proc. w 2015–2019. Nie wynika to jednak z komputeryzacji siewu i stosowania sztucznej inteligencji w łowieniu ryb, ale ze spadku liczby małych gospodarstw. Na rynku nieruchomości produktywność wzrosła o 35 proc., co jest dziwne, bo w mocno niezrobotyzowanym budownictwie wzrost produktywności w tym czasie wyniósł ledwie 13,8 proc. Coś, co produktywność wedle ekspertów winno napędzać – czyli branża informatyczna i technologiczno-komunikacyjna – tymczasem siadło. W latach 2015–2019 produktywność w tym sektorze w Polsce urosła o 17,3 proc., a w kolejnej pięciolatce 10-krotnie mniej. Co każe przypuszczać, że najproduktywniejsi jesteśmy w dziedzinach całkiem innych niż reszta świata.

● Sebastian Kulczyk dwa lata temu sprzedał udziały w Autostradzie Wielkopolskiej i dlatego nie zarobi na podniesieniu za nią opłat o 6 zł. Nie ma więc z czego dokładać do należących doń zakładów sodowych w Janikowie. To zaś wiąże się z tym, że w zakładach tych 350 osób powędruje na zieloną trawkę. Decyzja o zamknięciu zakładu w Janikowie wynika z wysokich kosztów energii oraz napływu tańszej sody z Turcji. Oczywiście pracodawca wszem i wobec rozgłasza, że dla wykopanych z roboty przygotowano programy przekwalifikowania i dobrowolnych odejść, a także warunki zwolnień grupowych „przekraczające standardy rynkowe”. Te działania mają spowodować, żeby wywaleni czuli się mniej wywaleni. Ale może nie będą musieli tak się czuć. Z odsieczą ruszyli posłowie, którzy skonstatowali, że Polska jako drugi największy producent sody w Europie odgrywa kluczową rolę w przemyśle na kontynencie. A skoro tak, to produkcję sody należy dopisać do listy strategicznych surowców i ją państwowo dofinansowywać. Pomysł ten jest zasadniczo niegłupi. Bać należy się tylko tego, że po węglanie sodu komuś przyjdzie do

eprasa.pl 697f4c9371

W konstytucji mamy dowcip mówiący, że każdy ma prawo do ochrony prawnej życia prywatnego.

Komórka Wielkiego Brata

Kilka lat temu do każdego posiadacza telefonu komórkowego docierały SMS-y o treści: „Dobra wiadomość, bezpłatnie zobaczysz, gdzie jest TERAZ Bliski”. Niemal zawsze taka reklama była wsparta nazwą operatora sieci. Potem wiadomość się zmieniła. Brzmiała tak: „W ramach abonamentu ZA DARMO możesz zlokalizować każdego. Przekonaj się teraz. Nie płacisz! Wypróbuj”. Ostatnio przychodzi zaś SMS o treści: „Możesz zlokalizować bliskiego w lokalizatorze od” – i tu pada nazwa operatora komórkowego – „przekonaj się teraz”. Najpierw jednak wejdź na stronę w sieci, której adres jest doklejony do SMS-a.

Najciekawsze w tym jest to, że wysłanie odpowiedzi nie jest obarczone – jak w przypadku tysięcy innych SMS-ów premium – żadnym ryzykiem. Nikt abonenta nie naciąga. I nikt nie okłamuje. Po prostu w tym kraju, jeśli mamy sposób jak na 24 godziny wejść w posiadanie czyjejś komórki, będziemy mogli taką osobę śledzić przez 24 godziny na dobę. Za niewielkie pieniądze i w absolutnej zgodzie z prawem.

Permanentne zaufanie

Podmiana tekstu reklamy polegająca na tym, że zniknęło słowo „bliscy”, a zastąpiło je „każdy”, choć wciąż nieco myląca, jest niestety prawdziwa.

Co prawda gdy się wejdzie na podaną stronę, w opisie usługi roi się od stwierdzeń typu „Gdzie Jest Bliski”, „Gdzie Jest Dziecko” czy „Bezpieczna Rodzina”. Bo chodzi o to, żeby rodzic wiedział, gdzie jest jego progenitura, a syn – czy aby matka z alzheimerem nie zapuściła się na drugi koniec Polski. Tyle tylko, że to wszystko nie do końca tak. Nikt bowiem nie wymaga od osoby zamawiającej usługę wyjaśnienia dotyczącego „bliskiego”. Po prostu ten, kto ma chęć śledzić kogoś innego, wysyła operatorowi chęć inwigilowania. Operator wysyła powiadomienie o tym osobie mającej być inwigilowaną. Ta zaś dobrowolnie na szpiegowanie siebie wyraża zgodę SMS-em o treści „tak”.

Usługodawca ujmuje to tak: „Chroniona osoba wyraża zgodę na lokalizowanie tylko przy pierwszej próbie lokalizacji. Później nie jest informowana, gdy sprawdzasz, gdzie jest. Raz udzielona zgoda obowiązuje przez cały czas, do chwili jej wycofania przez Bliskiego”.

Z prawnego punktu widzenia „dobrowolne wyrażenie zgody” za pomocą SMS-owego „tak” załatwia firmie inwigilującej i operatorowi absolutną bezkarność. Skoro bowiem ktoś się na śledzenie go zgodził, to widać jest dla śledzącego „chronionym bliskim”. A że niekoniecznie świadomym?

Żeby cała ta prawniczo-szpiegowska hipokryzja wyglądała ładnie, ani razu w umowie nie pada słowo śledzenie, ani nawet inwigilacja. Obserwowanie, gdzie ktoś w danej chwili jest, to po prostu całkiem niewinne lokalizowanie.

Wyobraźmy sobie zatem, że mamy poważne wątpliwości co do cnotliwości współmałżonka. Wystarczy pokombinować coś w jego komórce, by nie działała, i zaproponować, że zawiezie się ją do serwisu. Można też wymyślić cokolwiek innego, byle tylko komórka wpadła nam w ręce na 24 godziny. Odkręcamy to, cośmy pokombinowali, i mamy sprawną komórkę, którą chcemy szpiegować. Wysyłamy ze swojego telefonu zamówienie na lokalizowanie jej. W ciągu doby dostajemy na inwigilowany telefon SMS-a z prośbą o zgodę. Wyrażamy ją SMS-em zwrotnym. Kasujemy tę korespondencję i możemy komórkę zwrócić. Jej właściciela będziemy mieli teraz na widelcu.

Haki ze smartfona

W zależności od środków i potrzeb możemy sobie zamówić jedną z wielu opcji szpiegowania. Począwszy od kilku razy na miesiąc za niecałe kilkanaście złotych miesięcznie po permanentną inwigilację za złotych kilkadziesiąt. Osoba śledząca widzi w swojej komórce, czy obserwowany przebywa w jednym miejscu, czy się przemieszcza. W każdej chwili wiadomo, gdzie jest. Z dokładnością do 10 m.

Jeśli ktoś sobie winszuje jednocześnie śledzić więcej osób, to operatorzy mają i takie opcje. Za inwigilowanie pięciu osób chcą 6,15 zł za tydzień. Za tyle można uzyskać 150 „lokalizacji tygodniowo”. No a gdyby coś się przeoczyło, to w pakiecie ma się możliwość sprawdzenia, gdzie śledzone osoby były w ciągu ostatnich pięciu dni.

Ponieważ w opisie usługi stoi jak byk: „Definiuj obszary, w których Twoi Bliscy przebywają najczęściej, i otrzymuj powiadomienie, gdy znajdą się na miejscu lub je opuszczą”, to można sobie ustawić powiadomienie, gdy dana osoba ruszy się z domu, wyjdzie z pracy, albo dotrze do miejsca, gdzie zazwyczaj uskutecznia randki ze swoim seksualnym partnerem.

„Twój telefon wystarczy, aby dyskretnie lokalizować Bliskich” – zapewniają usługodawcy. A dzięki tej dyskrecji inwigilować można nie tylko małżonka. Wystarczy sprezentować chłopakowi lub dziewczynie smartfona, którego dostało się niby w promocji. Można też rozdać pracownikom komórki firmowe. W jednym i drugim przypadku będą one już miały aktywowaną usługę namierzania, bo przecież wcześniej wystarczyło odpowiedzieć twierdząco na pytanie, czy posiadacz telefonu zgadza się być śledzony.

Od tej pory narzeczony czy narzeczona nie będą mogli bezkarnie łgać, że są u kumpla czy kumpeli, bo śledzący widzi, że są na drugim końcu miasta. Szefowi w firmie nie wciśnie się kitu, że właśnie zmierza się na spotkanie z klientem, gdy wyświetla mu się, że pracownik jest w domu.

Zastosowań prywatnej inwigilacji może być tyle, ile zazdrość, wścibstwo i żądza kontroli są w stanie wykoncypować. A wciąż nie brakuje osób potrzebujących haka na kogoś, przyczynku do zwolnienia z pracy, do rozwodu lub choćby awantury.

Świadczą o tym dane publikowane przez firmę oferującą tę usługę. Pokazują, że prywatnej inwigilacji poddane są już setki tysięcy Polaków. Firma nazywa się Locon Sp. z o.o. i kiedyś była ze Szczecina, a teraz ma siedzibę w najściślejszym centrum Warszawy. Chwali się, że działając na polskim rynku od 1995 r., stała się liderem „w zakresie serwisów lokalizacyjnych oraz serwisów opartych o technologie GSM i GPS”. Sęk jednak w tym, że z tą firmą żaden abonent telefonii komórkowej umowy nie podpisuje. No chyba, że przyjmiemy, iż podpisem jest SMS-owe potwierdzenie.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Locon ma swoją internetową stronę gdziejestdziecko.pl. To na niej można wyczytać wszystkie możliwości obserwowania interesujących nas bliźnich. Na niej też widać, z kim dzieli się swoimi zyskami. Piszą o tym bez ogródek: „Jako godny zaufania partner, współpracujemy z takimi firmami jak Orange, T-Mobile, Play, Plus czy Netia, a nasze rozwiązania oferujemy zarówno klientom indywidualnym, jak i biznesowym”. Mamy tu największych operatorów telefonii komórkowej w Polsce. I to z nimi abonenci mają podpisane umowy. A ponieważ to właśnie sieci komórkowe zarówno reklamują, jak i pośredniczą w „usłudze lokalizacji”, na nie spada odpowiedzialność prawna za wszelkie hece, które ze śledzenia mogą wyniknąć.

Do firmy, z którą ludzie nie mają żadnej umowy, trafiają dane i marszruty co najmniej 700 tys. klientów. Taką bowiem liczbą chwali się Locon na swoich stronach internetowych. Gdyby przyjąć, że to prawda, to aferki inwigilacyjne w wydaniu pisowskich służb specjalnych byłyby przy tym zjawisku pryszczem.

Dotacje na inwigilację

Prawnicy Locona i operatorów są jednak na tyle dobrzy, że mimo iż inwigilacja trwa od lat, to nikt dotychczas nie zrobił ze śledzenia współobywateli afery. Ani nawet drobnej sprawy, która zmusiłaby komunikacyjnych gigantów do równie gigantycznych odszkodowań.

Jest wręcz przeciwnie. Locon co jakiś czas startuje po kasę z miłującej wszak prawo do prywatności Unii Europejskiej i dostaje od niej na wsparcie swojej działalności setki tysięcy złotych dotacji.

Prasa, radio i telewizja burzą się za każdym razem, gdy służby specjalne publikują raporty o wglądzie w tyle a tyle billingów komórkowych. Nie wspominając już o erupcji oburzenia, gdy objawi się jakiś Pegasus czy Hermes. Szaleją wtedy i zajmujące się wolnościami obywatelskimi organizacje pozarządowe. Grzmi rzecznik praw obywatelskich. Nie wspominając już o głównym inspektorze danych osobowych.

Wszystkie te instytucje doskonale zdają sobie sprawę z inwigilowania jednych obywateli przez drugich za pośrednictwem operatorów komórkowych. Od lat wiedzą o tym również politycy. I im to nie przeszkadza. Dlaczego? Bo nikomu przez myśl nie przeszło, że pod pozorem utrzymywania dziecka w ryzach i ochrony babci chodzi o coś zupełnie innego. Innego, ale wcale nie niezgodnego z prawem.

Z punktu widzenia głównego inspektora danych osobowych śledzenie kogoś nie jest literalnym naruszeniem prawa. W końcu czyjaś marszruta po mieście to nie imię i nazwisko, adres ani nawet numer PESEL. Gdyby Plusowi czy Orange chciała podskoczyć jakaś osoba inwigilowana, to też nic z tego.

Umowa jest tak skonstruowana, że inwigilowany może się procesować z inwigilującym. Operatorzy komórkowi, biorąc kasę za inwigilację, nie biorą za ten proceder żadnej odpowiedzialności.

Zapis ten działa na tyle odstręczająco na ewidentnych skarżących, że do sądów nie dotarła ani jedna sprawa związana z komórkową inwigilacją.

No bo niby z jakiego paragrafu? Stalking – czyli uporczywe nękanie innej osoby, które wzbudza u niej uzasadnione okolicznościami poczucie zagrożenia lub istotnie narusza jej prywatność – to to na pewno nie jest. Śledzony nie ma bowiem pojęcia, że jest śledzony, więc tego typu inwigilacji elektronicznej pod stalking podciągnąć się nie da.

Na podsłuchujących polityków kelnerów już wiele lat temu bat się znalazł. Tymczasem na to, żeby mąż, żona czy kochanka nie mogły mieć nas na smyczy, nie ma szans. Na świecie zrobiono z tego typu usługami porządek jednym prostym ustawowym zapisem – takim, dzięki któremu namierzana osoba dostaje w tej samej chwili informację o tym, że jest lokalizowana. U nas godziłoby to w finanse komórkowych filarów gospodarki.

Dlatego w rozmowach prywatnych posłowie wszystkich opcji śmieją się, opowiadając o wyzwalającej mocy prawdy o wiarołomstwie żony czy męża albo bumelanctwie pracownika. Podkreślają też, że świadomość, iż można być śledzonym, skutecznie przed popełnieniem cudzołóstwa powstrzymuje. Ale nade wszystko zalecają, żeby komórki jak najczęściej wyłączać.

Tymczasem nie z firmą Locon te numery. Dlatego na swojej stronie napisali: „Jeśli nie udało się zlokalizować Bliskiego, ponieważ miał wyłączony telefon, będziemy bezpłatnie namierzać go dalej. Otrzymasz SMS-a z jego aktualną lokalizacją tak szybko jak to możliwe”.

TADEUSZ JASIŃSKI

głowy wpisać na listę węgiel kamienny. Bo wtedy zamiast kilkoma miliardami złotych rocznie zaczniemy jako podatnicy dopieszczać kopalnie dziesiątkami miliardów, które i tak pójdą w komin, a później jako pył zawieszony do płuc Polek i Polaków.

● Oprócz udawania, że odchodzimy od węgla, rząd nieustająco zajmuje się od lat ustawą medialną mającą zlikwidować abonament RTV. Zgodnie z najnowszymi zapowiedziami media publiczne miałyby być finansowane wprost z budżetu państwa. Ponieważ jednak słyszymy to od dwóch dekad, to większość z nas wciąż musi obawiać się nalotu kontrolerów z poczty. A to dlatego, że abonament płaci jakaś marginalna liczba ludzi. Mogłaby ona zostać pomniejszona o dopuszczone prawem zwolnienie z abonamentu osób, które ukończyły 60 lat i mają prawo do emerytury w wysokości połowy przeciętnego wynagrodzenia, czyli 4090,86 zł brutto. Pokażcie jednak kogoś, kto znajdzie w sobie tyle samozaparcia, aby marnować życie pójściem na pocztę z dowodem osobistym oraz decyzją ZUS albo „innego organu emerytalno-rentowego” o wysokości emerytury w danym roku. Nie dość

Rys. WIDGET

jednak, że najpierw trzeba się o te kwity wystarać, to na poczcie trzeba też wyprosić blankiet oświadczenia potwierdzającego uprawnienie do zwolnienia, wypełnić go i doczekać, aż wyświetli się pobrany na początku numerek, który okaże się zupełnie nie tym numerkiem, o który chodzi, bo na pewno wniosek o zwolnienie z abonamentu składa się w okienku, którego w maszynce do wydawania numerków nie ma. Każdy, kto w ostatnich latach był choć raz na poczcie, znając te procedury, miast przechodzić kolejny raz traumę, będzie więc wolał płacić haracz radiowo-telewizyjny.

● Pod koniec stycznia lotnisko o dziwnej nazwie Olsztyn Szymany obchodziło dziewięciolecie swojej działalności. Do tej pory skorzystało z niego ponad 860 tys. pasażerów. Tyle, ile przewija się przez Okęcie w ciągu 10–11 dni. Teraz lotnisko stało się sławne, bo wypłynęła informacja, że za 22 mln zł Polskie Linie Lotnicze LOT będą promować Warmię i Mazury. Za taką kasę LOT musi oznakować dwa samoloty reklamą województwa. Pomalowana reklamą powierzchnia to 80–120 mkw. dla każdego samolotu. Jeśli tylko to nie wygląda na jakąś aberrację, to dodać należy, że PLL LOT z i do Szyman lata dwa razy w tygodniu, i to tylko do i z Krakowa. Po przeliczeniu kwoty kontraktu reklamowego na miejsca samolotowe wyjdzie, że samorząd województwa warmińsko-mazurskiego będzie dopłacać do każdego fotela na trasie krakowskiej 394 zł. Tymczasem fotel wcale nie równa się bilet i jeśli na pokładzie będzie tylko połowa pasażerów, to do każdego biletu lokalni włodarze dołożą niemal 800 zł. Połowa obłożenia lotów też może być dla lotniska w Szymanach problemem, bo w zeszłym roku odprawiło 72 tys. pasażerów – o ok. 50 proc. mniej niż rok wcześniej. Ba, to mniej niż 78 248 pasażerów obsłużonych przez lotnisko Chopina w dniu 2 sierpnia 2024 r. Zarządzająca lotniskiem spółka Warmia i Mazury, w której stuprocentowym akcjonariuszem jest województwo warmińsko-mazurskie, w ostatnich ośmiu latach wypracowała 170 mln zł straty. W czasach, gdy każdego dnia prokuratura wszczyna postępowania w sprawach naprawdę duperelnych, fakt, że nie zajmuje się Szymanami, zakrawa na jakiś cud.

TTJ

eprasa.pl 697f4c9371

PLURALIS MAIESTATIS

Polska Volksgemeinschaft

Krajowa wspólnota ludowa 80 lat po Zagładzie

27 marca br. odbyło się posiedzenie Rady ds. Rodziny, Edukacji i Wychowania Narodowej Rady Rozwoju. Wiecie, żeby Polska była Polską, a Masło było Masłem! Posiedzenie poprowadził prof. dr hab. Andrzej Waśko – doradca Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i przewodniczący powyższego organu.

Pośród gości: „prof. dr hab. Ryszard Legutko – filozof i publicysta, senator VI kadencji, Minister Edukacji Narodowej w 2007 r., poseł do Parlamentu Europejskiego VII, VIII i IX kadencji; prof. dr hab. Jan Żaryn – historyk, nauczyciel akademicki, senator IX kadencji, w latach 2020–2024 Dyrektor Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego; dr Małgorzata Żaryn – historyk, nauczycielka i wychowawca, autorka publikacji historycznych i popularnonaukowych; dr Paulina Florjanowicz – archeolog i ekspert w zakresie zarządzania dziedzictwem kulturowym, współautorka i koordynatorka Wieloletniego Programu Rządowego „Niepodległa", dyrektor Narodowego Instytutu Muzeów; Jerzy Kwaśniewski – Prezes Zarządu Fundacji Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris; Agnieszka Pawlik-Regulska – Prezes Stowarzyszenia Nauczycieli i Pracowników Oświaty »Nauczyciele dla Wolności« oraz Arkadiusz Gołębiewski – reżyser, producent i scenarzysta filmowy, pomysłodawca i dyrektor Festiwalu Filmowego NNW"… O czym radośnie donosi ten ostatni na facebookowym profilu Festiwalu Filmowego NNW. Plus mordeczka dyrektora Gołębiewskiego. Nie mogłam sobie darować tego jakże długiego cytatu będącego wszakże certyfikacją Prawdziwych Polaków!

Tymczasem Wódz Ich Wszystkich Andrzej Duda, przyjmując pozycję Duce i pokazując dziurkę w wysuniętym a uniesionym podbródku, odsłaniał pomnik. W Ciepielowie! Monument poświęcony jest Polakom Ratującym Żydów.

Musi być monumentalny, jako że II wojnę światową przeżył 1 (słownie: jeden) procent polskich Żydów. Yad Vashem, izraelska organizacja odpowiedzialna za przyznawanie medali Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, odznaczyła dotychczas 7100 Polaków (przy np. 5900 Holendrów).

Ilustr. PAWEŁ FERENC

I proszę mi nie wyskakiwać z argumentem, że w okupowanej Polsce można było dostać czapę za pomaganie Żydom. Bo zacytuję Janka Grossa, który swego czasu rezolutnie zauważył, że za szmugiel salcesonu też dostawało się rozwałkę.

A jednak szmuglowało się go wzdłuż i wszerz okupowanej Polski. Mogę tylko dodać, że – po pierwsze – jak wiadomo po współczesnych egzorcyzmach, salceson stanowi jedno z podstawowych narzędzi polskiego Kościoła walczącego z demonami. A po wtóre, rozwałka od „Nemca" to jedno, a nadzianie na widły przez sąsiada zirytowanego tym, że chowa się Żydków, to drugie… Duce Duda odsłonił pomnik w – uwaga, znowu stylistyczny horror – „Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką", czyli 24 marca. To święto klepnął parlament w 2018 r. z inicjatywy Duce Dudy. Należałoby tu przypomnieć, że Bronio Wildstein, prowadzający się pod ramię z dyrektorem NNW Arkadiuszem Gołębiewskim (są gusta i guściki), swego czasu wymienił maile z Morawieckim, a w jednym z nich zasugerował premierowi, że „polskie męczeństwo powinno być promowane za pomocą żydowskiej martyrologii – i jest to możliwe" (cyt. za Jan Grabowski „Wybielanie: Polska wobec zagłady Żydów", vis-a-vis/etiuda, Kraków, 2024). Oj, Bronio, Bronio, ty się niczego z Historii nie nauczyłeś, chłopie, co?

I tak żydowska kiepełe zapłodniła polską wyobraźnię! Nie pierwszy raz zresztą, bo już podobny pomysł, opisany w notatce służbowej pt. „Ustalić liczbę zabitych na sześć milionów" miał w 1946 r. Jakub Berman. Późniejszy wiceprezes Rady Ministrów – któremu brata Mieczysława, siostrę Annę, szwagra Pawła i siostrzenicę Lenę zabito w Treblince – doszedł do wniosku, iż to bardzo paskudnie wygląda, że z rąk Niemców zginęły 3 mln polskich Żydów i 1,8 mln etnicznych Polaków. Ma być trzy bańki tu i trzy bańki tam, a dalej – zsumować. I do budowy pomników. Dobra – wtedy to pomniczków.

Dekadę temu, kiedy Przecinacz Wstęg dopiero zabiegał o swoją fuchę, w debacie z urzędującym wówczas na Belwederskim Stolcu Komorowskim, Duda wytknął konkurentowi list z 2011 r. odczytany na uroczystości upamiętniającej ofiary w Jedwabnem: „Zawarł pan w nim stwierdzenie: »naród ofiar był także sprawcą«. Panie prezydencie, jak wygląda pana polityka obrony dobrego imienia Polski, jeżeli pan w swoich wystąpieniach używa określenia, które niszczy rzeczywistą pamięć historyczną?". Cytuję – wciąż – za książką Jana Grabowskiego „Wybielanie" i dalej za nią przywołuję pytanie i podpisuję się pod nim: „Czy można z całą pewnością stwierdzić, że zagranie antysemicką kartą nie przyczyniło się do zwycięstwa wyborczego obecnego prezydenta Polski?".

Tak, wiem, że część Czytelników pomyślała sobie teraz o kandydacie Karolu Nawrockim. Nasuwa mi się też mówka premiera Morawieckiego wygłoszona 24 marca 2023 r.: „Pamiętamy wspaniałą polską historię: pamiętamy miliony Polaków, którzy cierpieli i ratowali swoich żydowskich sąsiadów podczas okrutnej nocy niemieckiej okupacji. To fundament, na którym wznosimy wielką i pogodną Polskę".

Taaa, chodzi o pogodną Polskę! Ja proponuję, żeby jeszcze ustanowić Ministerstwo Rozrywki, o którym brawurowo napomyka redaktor Robert Jaruga („Od cepów do laptopów", „NIE" 9/2025). To akurat zacny pomysł, tylko że ze względu na aktualną antysemicką pogodę w Polsce na ministra rozrywki należałoby powołać albo Grzegorza Brauna, albo Letniego – autora dzieła zatytułowanego „O Grzegorz Braun!". Niby pieśni o braunowskich zabawach z gaśnicą, a jak czas pokazał – hymnu polskich nawalonych posłów! Ironia obecna w rzeczywistej rzeczywistości zawsze będzie mnie zachwycać.

IZABELA SZOLC

Jedyny polski reaktor atomowy zawiesza działalność

Reaktor badawczy Maria w Otwocku wstrzymuje działalność z powodu braku nowego zezwolenia na eksploatację. Przerwa ma potrwać do 8 maja, a jej konsekwencje dla polskiej onkologii mogą być smarkate. Kiepska to wróżba na przyszłość, kiedy chcemy budować elektrownie atomowe, a nie potrafimy utrzymać pracy reaktora badawczego, który zapewnia bezpieczeństwo lekowe.

Bóle i męki

Podczas gdy Polska snuje wizje o energii z atomu, problemy jedynego reaktora atomowego w kraju nad Wisłą mnożą się jak króliki w Czarnobylu. Maria, znajdująca się w Świerku koło Warszawy, nie jest reaktorem produkującym energię elektryczną, a badawczo-produkcyjnym. Jednym z jej podstawowych zadań jest wytwarzanie promieniotwórczych izotopów wykorzystywanych m.in. w medycynie nuklearnej i przemyśle – działalnością tej kategorii zajmuje się jednostka będąca częścią Narodowego Centrum Badań Jądrowych (NCBJ), a mianowicie Ośrodek Radioizotopów POLATOM. Z końcem marca NCBJ poinformowało: „Od 31 marca do 8 maja 2025 r. planowana jest przerwa techniczna w działaniu reaktora Maria. Dyrekcja Instytutu planuje działania, aby do tego czasu proces licencjonowania zakończył się sukcesem".

„Przerwa techniczna" nieprzypadkowo zbiegła się w czasie z końcem dziesięcioletniego zezwolenia na eksploatację reaktora. Państwowa Agencja Atomistyki (PAA) nie zatwierdziła bowiem wniosku Narodowego Centrum Badań Jądrowych o przedłużenie licencji i analizuje, czy informacje przedstawione przez NCBJ w pełni spełniają wymagane przepisami prawa warunki wykonywania działalności związanej z narażeniem na promieniowanie jonizujące.

Wniosek złożono w sierpniu ubiegłego roku, a jego uzupełnienie nastąpiło we wrześniu 2024 r. Jak donoszą wiewiórki, gdyby uruchomiona blisko dwa lata temu modernizacja reaktora (na pięcioletni program wyasygnowano 100 mln zł) była prowadzona właściwie, zezwolenie zostałoby wydane na czas. Gdyby ktoś pytał, nadzór nad NCBJ sprawuje minister właściwy ds. surowców energetycznych, czyli minister przemysłu Marzena Czarnecka.

Co ciekawe, choć jeszcze w połowie marca dyrektor Departamentu Energii Jądrowej Paweł Gajda opowiadał miłe uszom bajki o wprowadzeniu dodatkowego instrumentu wsparcia dla kluczowej infrastruktury badawczej, wykorzystywanej w programie jądrowym dla – jak zapewniano – odpowiedniego jej funkcjonowania,

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Park Przy Bażantarni na Ursynowie wzbogacił się o betonowy flowpark – pierwszy w Polsce i drugi na świecie, wykonany z betonu 3D tor przeszkód dla miłośników parkouru i freerunu. Nie pytajcie nas, czy znamy jakiegoś fana parkouru lub freerunu i na czym polega ta pasja – nie wiemy, nie znamy. Koszt inwestycji ponad pół miliona złotych. Władze dzielnicy podkreślają innowacyjność przedsięwzięcia, które ma rozwijać sprawność fizyczną i kreatywność. Umiejętności nabyte we flowparku mogą się przydać podczas ucieczki z ruin Warszawy, gdyby Rosjanie posłali na miasto bombowce.

▮ Nasi politycy, zadowoleni z obranego kierunku w polityce zagranicznej, zamiast mówić o pokoju, szykują nas na najgorsze: zbrojenia. 111 bojowych wozów piechoty Borsuk zamówionych przez ministra Siemoniaka w Hucie Stalowa Wola pochłonie 6,5 mld zł. Jeden Borsuk to koszt 58,5 mln zł. Za taką kwotę można by wybudować szkołę podstawową z prawdziwego zdarzenia, nowoczesny szpitalny oddział ratunkowy lub aquapark. Albo, co bardziej przyziemne, ponad 100 km dróg lokalnych. Wybór jest prosty: albo 111 Borsuków, albo 111 szpitali, szkół, basenów... Niestety, dogadać się z Putinem nikt nie potrafi, za to kłócić – jak najbardziej. A to może się skończyć tak, że zamiast budować nowe szpitale, będziemy liczyć te, które nam jeszcze zostały. Bo jak wiadomo, wojna to zdrowie... dla grabarzy.

▮ W pierwszych miesiącach roku firmy z Krakowa postanowiły sprawić prezent swoim pracownikom – zwolnienia dla 1,9 tys. osób. W kwartał małopolskim biznesmenom udało się wyrównać cały wynik z ubiegłego roku. Z danych Grodzkiego Urzędu Pracy wynika, że szczególnie „docenieni" zostali ci, którzy dotychczas robili coś tak absolutnie zbędnego jak przetwarzanie danych i zarządzanie stronami internetowymi: 1200 osób do odstrzału. Kolejne 32 osoby, które śmiały doradzać w informatyce, również mogą już pakować laptopy. Do tego 69 specjalistów od oprogramowania i 145 naukowców zajmujących się badaniami i rozwojem, bo kto by tam potrzebował badań czy rozwoju w XXI w. To prawdziwa jatka w branży IT, którą jeszcze do wczoraj reklamowano jako „pewną przyszłość", „eldorado cyfrowego rynku" i „lokomotywę gospodarki". Ale minister Siemoniak już ma dla was nową ścieżkę kariery. Skoro wcześniej całymi dniami klikaliście w te swoje War Tendery i opierdzielaliście się przy monitorach, teraz wsiądziecie w jego Borsuki i voilà! Zamiast tych frustrujących deadline'ów będziecie mieli prawdziwe karabiny i ostrą amunicję oraz killing groundy.

▮ Natomiast w Gliwicach u bram piekielnej kuźni Bumar-Łabędy, gdzie produkują kombajny do mielenia mięsa (ludzkiego też), zawrzało. Związkowcy z Kontry biją na alarm: nie ma zamówień, nie ma roboty, a prezes przedsiębiorstwa Zbigniew Krzyszkowski drzemie. 850 melonów na Kraby leży odłogiem, a ludziom grożą zwolnienia. Dość bierności! – wrzeszczą związkowcy i żądają głowy prezesa. A ten? Wszystko zwala na politykę. „To nie my, to oni!" – brzmi standardowa odpowiedź zarządu. Klasyka gatunku.

▮ W Kielcach filmowiec amator zarejestrował wyczyny innego kierowcy, który zajeżdżał drogę uczestnikom ruchu, podając się przy tym za policjanta. Ku zaskoczeniu wszystkich piratem drogowym nie okazał się jednak funkcjonariusz. Kielecka policja potwierdziła, że mężczyzna widoczny na filmie nie ma nic wspólnego z formacją. Fałszywy glina usłyszał pięć zarzutów o wykroczenia drogowe, a także jeden za podszywanie się. Dostał naganę i zabrano mu 1000 zł.

▮ W miejscowości Tama Brodzka (woj. kujawsko-pomorskie) doszło do klasycznego popisu młodego mistrza kierownicy. 18-latek, który prawo jazdy odebrał zaledwie dwa dni wcześniej, sprawdzał, jak szybko da się wyprzedzać na drodze krajowej nr 15. Efekt? Czołowe zderzenie z ciężarówką nadjeżdżającą z przeciwka. Siła uderzenia była imponująca! Z jego autka wyrwało silnik i rozrzuciło go po drodze. Nikomu nic się nie stało. Ot, trochę złomu na jezdni. Kierowca otrzymał srogą karę: 2 tys. zł mandatu i 10 punktów karnych. Na szczęście nie odebrano mu świeżego prawka. Aha, tak, oczywiście, że prowadził BMW.

▮ Dwóch gramów kokainy nie udźwignął 29-letni stołeczny policjant z drogówki. Zatrzymany poza służbą, ale z towarem przez Biuro Spraw Wewnętrznych Policji. Sprawą zajmuje się prokuratura, a rzecznik KSP młodszy inspektor Robert Szumiata, z żalem kiwając głową, potwierdza fakt uwięzienia kolegi po fachu.

▮ Jeszcze wojna się nie zaczęła, a już mamy problemy z sojusznikami. Podczas tzw. ćwiczeń wojskowych na Litwie amerykański pojazd opancerzony Hercules M88 wraz z załogą... poszedł na dno na poligonie w Podbrodziu (lit. Pabradė) 20 km od granicy z Białorusią. Podwodny pojazd udało się zlokalizować, amerykańskich żołnierzy – nie. Na miejsce został wysłany przez wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza polski zespół zadaniowy: kilkudziesięciu żołnierzy, ciężki sprzęt i płetwonurkowie. Naszym zadaniem jest teraz nie tylko pilnowanie wschodniej flanki NATO, ale także ratowanie sojuszników z opresji. Miało być tak, że to oni przychodzą tu, żeby nas bronić. Tymczasem wygląda na to, że to my musimy ich ratować. No nie tak żeśmy się umawiali.

▮ Jastrzębska policja otrzymała zgłoszenie o pożarze samochodu zaparkowanego na ul. Łowickiej. Skierowano patrol, który potwierdził pożar. Podejrzewano i słusznie, że podpalaczem może być była dziewczyna właściciela auta. Rozpoczęto poszukiwania

eprasa.pl 697f4c9371

Maria niełaski pełna

resort o spodziewanych kłopotach Marii nie wiedział. To kiepsko, bo zbudowany przez opluwaną komunę obiekt od pięciu dekad ratuje zdrowie i życie milionów ludzi, a nawet tak – zdawałoby się – krótki przestój może odbić się medyczną czkawką,

bo każda przerwa w pracy reaktorów badawczych zakłóca dostawy radionuklidów stosowanych w wielu terapiach.

Stara, ale jara

Może i Maria jest starą konstrukcją, ale w ramach działalności komercyjnej jako jedna z czterech w Europie oferuje kilkadziesiąt radiofarmaceutyków zawierających całą gamę izotopów, w tym polski przebój eksportowy, izotop rzadkiego pierwiastka technetu, a konkretnie technet-99m. Jest on powszechnie stosowany w zakładach medycyny nuklearnej jako znacznik dla techniki SPECT (komputerowej tomografii jednego fotonu). Wykorzystuje się go w diagnostyce gruczołów ślinowych, naczyń krwionośnych, kanałów łzowych, mózgu i serca czy tarczycy. Podstawowy radioizotop służący do uzyskiwania radioaktywnego technetu to molibden-99 stosowany w diagnostyce i terapii onkologicznej. W otwockim Świerku powstaje również radioaktywny jod.

Ponad połowa wykorzystywanych w procedurach diagnostycznych i terapeutycznych radiofarmaceutyków może być produkowana wyłącznie w lekkowodnych, wysokostrumieniowych reaktorach badawczych. Polski reaktor jest jednym z najważniejszych dostawców napromieniowanych tarcz uranowych do produkcji molibdenu-99, odpowiedzialnym za ok. 10 proc. światowych dostaw. W 2022 r. staruszka Maria w ramach misji ratunkowej zmieniła harmonogram pracy, żeby zapobiec brakom w dostawach tego medycznego radioizotopu spowodowanym usterką w holenderskim reaktorze HFR. Mimo to polityka Narodowego Centrum Badań Jądrowych wobec Marii zdaje się przebiegać po macoszemu, a przyczyn tego stanu rzeczy jest kilka.

Niedobór srebrników

NCBJ zatrudnia ponad 1000 pracowników i chlubi się statusem jednego z największych instytutów badawczych w środkowej Europie. Centrum oprócz reaktora ma we władaniu Ośrodek Radioizotopów, Zakład Aparatury Jądrowej HITEC oraz szereg innych jednostek zajmujących się fizyką reaktorową i molekularną. Maria niestety oprócz radiofarmaceutyków generuje głównie koszty, a co za tym idzie – problemy. W odróżnieniu od innych reaktorów badawczych na świecie, Maria nie ma zagwarantowanego stabilnego finansowania z budżetu państwa. Koszty utrzymania obejmujące paliwo jądrowe, energię elektryczną, ochronę fizyczną, personel i media wynoszą ok. 40 mln zł rocznie.

Część kosztów eksploatacji pokrywa dotacja celowa w ramach programu SPUB (Specjalne Urządzenie Badawcze) z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Szału nie ma, w 2024 r. Marii przyznano 21,187 mln zł dotacji. Dodatkowo decyzja o przyznaniu środków z tego źródła zapada w grudniu, co utrudnia planowanie finansowe atomowej jednostki. Nadzorujące NCBJ Ministerstwo Przemysłu dorzuca bańkę rocznie na bezpieczeństwo jądrowe i ochronę radiologiczną. Około jednej trzeciej kosztów utrzymania reaktora pochodzi z przychodów z produkcji wspomnianych radioizotopów i usług napromieniowania materiałów. Kolejna część budżetu jest pozyskiwana z grantów krajowych (np. NCN, NCBR) i międzynarodowych (np. unijny program Horyzont). Te środki są jednak często pośrednio związane z reaktorem i wymagają ciągłego aplikowania o fundusze.

Wskutek wieloletniej dziadowskiej polityki finansowej państwa pensje pracowników są relatywnie niskie, a środków na rozwój po prostu brak. Pracownicy Marii jeszcze niedawno zarabiali nieco powyżej minimalnej pensji krajowej, co jeśli weźmie się pod uwagę ich kwalifikacje, brzmi jak ponury żart. Choć w ciągu ostatnich dwóch lat sytuacja nieco się poprawiła, wynagrodzenia w jednostce wciąż nie robią wrażenia na tle warszawskich stawek, dlatego trudno o pozyskanie nowych pracowników i utrzymanie już zatrudnionych. Na bolączki Marii mogłoby pomóc podporządkowanie Centrum celom rządowego programu energetyki jądrowej. Na razie można obstawiać, czy chorzy onkologiczni będą spadać z leczenia radiofarmaceutykami, bo każda kolejna ekipa rządząca nie widzi w problemie priorytetu.

IDALIA DUBICKA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Morderca, czyli wzorowy funkcjonariusz

Wokół masakry w Prusicach

Na pozór tragedia w podwrocławskich Prusicach to wstrząsająca, ale niewiele wnosząca sprawa. Ot, w małżeństwie funkcjonariuszy służby więziennej doszło do kłótni, 51-letni mąż sięgnął po broń, zastrzelił teściową, swoją pięcioletnią córkę, próbował zabić dziewięcioletniego syna (chłopiec zmarł w szpitalu), a na koniec wymierzył broń w siebie. Ciszej nad tą trumną – można by rzec.

Otóż nad tymi trumnami powinien unosić się wrzask, który da szansę uniknięcia kolejnych podobnych przypadków.

Zabójca kierować miał Grupą Interwencyjną Służby Więziennej, która zajmuje się m.in. tłumieniem buntów więźniów i konwojowaniem najniebezpieczniejszych kryminalistów. – Wzorowy funkcjonariusz, pracował od 17 lat – podkreślał na konferencji prasowej dyrektor generalny Służby Więziennej płk dr. Andrzej Pecki.

Karolina Stocka-Mycek z wrocławskiej Prokuratury Okręgowej zwracała uwagę, że nie ma powodów, aby sądzić, że wydarzenie miało jakikolwiek związek z pracą sprawcy. Dodała, że małżeństwo było na początku procesu rozwodowego.

Anonimowy rozmówca wrocławskiej „Gazety Wyborczej" stwierdził: „Ten z Prusic nie miał dobrej opinii u kolegów. Mało kto chciał z nim pracować. Nerwowy, nieprzyjemny, czasem agresywny. W piątek 28 marca była jakaś impreza. Żegnali kolegę, który odchodził na emeryturę. Może jakiś alkohol? Może dlatego"…

Zapytałam kumpla ze służby więziennej, jak to możliwe, że szefem grupy interwencyjnej, gdzie przecież nie służą pacyfistyczni hipisi, został nerwowy agresor, którego unikali koledzy. – Trzeba skończyć z pierdoleniem o zmianach, trzeba w końcu zacząć je wprowadzać! – usłyszałam.

Oczywiście grupa specjalna musi zmagać się z agresją więźniów, których trzeba spacyfikować. Rodzi się jednak pytanie, w jaki sposób to robi, czy nie jest to po prostu okazja, by innym ludziom konkretnie i bezkarnie wpierdolić. I jeszcze dostać za to pochwałę…

Szukając głębszych przyczyn tragedii, przypomniałam sobie luźną rozmowę z koleżanką, która widziała testy psychologiczne, jakie standardowo przechodzą ludzie chcący pracować w służbach mundurowych, mający dostęp do broni.

– Złapałam się za głowę. W tych testach sprawdza się głównie posłuszeństwo, karność, poddanie hierarchii i niewiele więcej – usłyszałam.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że ludzie zafiksowani na punkcie kontroli i dominacji nie porzucają swych poglądów poza pracą, po zrzuceniu munduru. A skoro ich „własność", żona, chce odejść i zabrać dzieci, to czują, jak realna władza wymyka im się z rąk. To potencjalnie groźna sytuacja.

Wzorowy funkcjonariusz wiedział doskonale, jak najbardziej skrzywdzić swoją żonę w trakcie kłótni. Zabił najbliższych jej ludzi: matkę, odsunął ją od wspólnych dzieci i mówiąc kobiecie, że teraz będzie cierpieć – zaczął mordować małe dzieci. Na koniec spróbował zabić siebie, na razie jest w stanie ciężkim. Jeśli przeżyje, to jako gad i morderca dziecka będzie albo najbardziej chronionym więźniem w kraju, albo w pudle nie przetrwa miesiąca…

Mam też pytanie w kontekście bezprecendensowego zwiększenia liczby pozwoleń na broń w Polsce. Ile pistoletów czy karabinów trafiło i trafi w ręce domowych katów, niewahających się jej użyć przeciw najbliższym, gdy żona zechce odejść, pozbawiając ich tego, co uznają za swoje? To pytanie kieruje zwłaszcza do konfederaty Mentzena, wielkiego miłośnika powszechnego dostępu do broni palnej…

KAT

sprawczyni. Udano się do mieszkania pokrzywdzonego na rozpytanie. Podczas rozmowy policjanci usłyszeli szelest dochodzący z wersalki. Poprosili gospodarza o jej otwarcie. Tam właśnie ukrywała się 25-latka, która spaliła wóz. Usłyszała zarzut zniszczenia mienia, za który grozi pięć lat więzienia. Właściciel spalonego wraku i wersalki również nie uniknie kłopotów. Za pomoc w ukrywaniu przestępczyni grozi mu odpowiedzialność karna.

Rys. WIDGET

▮ Stocznia Crist z Gdyni zakończyła rok 2024 imponującym wynikiem: 800 mln zł przychodu z portfelem zamówień do 2027 r. Prywatna, działająca od 35 lat firma ma na koncie ponad 400 zwodowanych statków. W ubiegłym roku stocznia dostarczyła m.in. nowoczesne kadłuby jednostek obsługujących farmy wiatrowe oraz specjalistyczne wykorzystywane przy budowie najdłuższego na świecie tunelu podwodnego między Danią a Niemcami. Crist zatrudnia 1500 pracowników. Udowadnia, że polski przemysł może działać globalnie, skutecznie i innowacyjnie. Oczywiście dopóki nie zainteresują się tym politycy, urzędnicy i skarbówka. Na razie więc brawo! I oby tak dalej.

▮ Polska właśnie czasowo pozbyła się jednego z kluczowych reaktorów badawczych w Europie. 1 kwietnia reaktor jądrowy Maria w Świerku został wyłączony, bo... nie ma zezwolenia na dalszą pracę. Zabrakło papierka. Mimo że proces odnawiania licencji trwa od miesięcy, nie udało się na czas spełnić wymogów formalnych. Dla jasności: chodzi o obiekt, który odpowiada za znaczną część dostaw izotopów wykorzystywanych w diagnostyce i terapii nowotworów w naszej części Europy. Narodowe Centrum Badań Jądrowych zapewnia, że „intensywnie pracuje" nad licencją. Stukot pieczątek jest jak tętent koni, a szelest niedostarczonych dokumentów doprowadzić może do szału.

▮ W 2024 r. polskie drogi stały się areną dla zagranicznych kierowców. Cudzoziemcy uczestniczyli w 2186 wypadkach, w których zginęło 280 osób. W 1171 przypadkach byli sprawcami, powodując śmierć 112 osób. Królują kierowcy z Ukrainy (1035 wypadków), Gruzji (143 wypadki) oraz Białorusi (117 wypadków). Niemieccy kierowcy spowodowali 65 wypadków. W sumie w ubiegłym roku na polskich drogach doszło do 21 519 wypadków, co oznacza wzrost o 2,8 proc. w porównaniu z 2023 r.

▮ Polska świnia jest Duńczykiem – powiedział prezes Związku Polskie Mięso Jacek Strzelecki. Jak wyjaśnił, w Polsce brakuje wystarczającej liczby prosiąt do dalszego chowu, przez co kraj nie jest samowystarczalny pod względem produkcji wieprzowiny. W ubiegłym roku Polska sprowadziła rekordową liczbę świń. Jak podaje Główny Urząd Statystyczny do listopada 2024 r. wjechało 7 725 600 sztuk trzody chlewnej. 11,2 proc. więcej niż w analogicznym okresie roku poprzedniego. Aż 97 proc. tego importu pochodziło z Danii. Co na to obrońcy zwierząt? Czas wpisać polską świnię na listę gatunków zagrożonych wyginięciem.

RJ

PS Przedstawione informacje zostały zaczerpnięte z publikacji prasowych, w tym ze źródeł regionalnych z różnych części kraju. Ze względu na charakter tych danych zaleca się ich analizę z zachowaniem krytycznego podejścia oraz bez wyciągania jednoznacznych, fundamentalnych wniosków.

eprasa.pl 697f4c9371

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Tylko Karol Nawrocki może zatrzymać marsz środowisk LGBT i ideologię, która zagraża dzieciom.*** *Już wiemy, że jeżeli cokolwiek trafi na biurko przyszłego prezydenta, jeśli zostanie nim Rafał Trzaskowski, to on podpisze wszystko, co będzie dotyczyło tzw. równości, szczególnie w zakresie równości środowiska LGBT.* ***To ogromne naruszenie praw chrześcijan, konserwatystów w Polsce. Nie godzimy się na to, aby wychowywać nasze dzieci wbrew woli rodziców.***

Kazimierz Smoliński (PiS), konferencja prasowa, Gdańsk, 27 marca

■ *Europa popełniła tysiące błędów. (…) To wszystko skutkuje tym, że teraz mamy za to płacić i Polacy tego nie chcą. Ale tych głupstw ideologicznych przesyłanych nam z Zachodu jest więcej.* ***To, co się dzieje w szkołach, Fundusz Kościelny znowu zaatakowany – to są te wszystkie pomysły, które mają się dostosowywać do oczekiwań sponsorów Donalda Tuska i jego ekipy politycznej, ludzi, którzy zainstalowali tutaj władzę zewnętrzną.***

Piotr Gliński, TV Trwam, 28 marca

■ *Już tacy byli, którzy „cywilizację europejską" tworzyli przy pomocy komór gazowych.* ***Cywilizacja śmierci promowana przez współczesnych dyktatorów to zagłada Europy.***

ks. Janusz Chyła, X, 21 marca

■ *To, co było patologią, co było wstydliwe, co było karalne, dzisiaj staje się normą.* ***Stanęliśmy dzisiaj w sytuacji, kiedy sterylizacja, aborcja, eutanazja, tranzycja są miarą demokracji.*** *Patologia stała się normą.*

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, konferencja „Evangelium Vitae – inspiruje i motywuje od 30 lat", Warszawa, 25 marca

■ *Każdy lekarz jest powołany do tego, aby dbać o życie, towarzyszyć w cierpieniu. Nie jesteśmy bogami, nie jesteśmy w stanie w taki sposób, jak byśmy chcieli, zapanować nad życiem.* ***Ostatnią kropkę nad i, zarówno przy poczęciu, jak i przy końcu życia, stawia Pan Bóg i muszą to uznać nawet ci, którzy są niewierzący, są ateistami.***

dr n. med. Aleksandra Kicińska, TV Trwam, 26 marca

■ ***Każdy ma prawo uważać, co chce – ktoś może uważać, że nie powinno być Funduszu Kościelnego, ale są to żądania mające charakter antyreligijnej obsesji, charakterystycznej dla dzisiejszej lewicy.*** *Żaden rozsądny człowiek nie powinien się tym przejmować, zarówno wtedy, kiedy jest wierzący i kiedy nie jest.*

Jarosław Kaczyński, PCh24.pl, 26 marca

■ ***Tusk mówi: „interesy Rydzyka". Jakie moje interesy? Może niech zobaczy, jaką mam pensję. Czy mam coś od tego państwa? Co ja mam? Czy ja ukradłem coś ludziom? A robi mi taką opinię. To jest najgorsze.*** *Odbierają dobre imię. Oni tak chcą zrobić, żeby pana wicepremiera Glińskiego, który zgodził się na Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II, panią dyrektor Lidię Kochanowicz, o. Jana Króla i mnie określić jako zorganizowaną grupę przestępczą. (…)* ***Im nie na rękę jest Kościół katolicki. Po prostu chodzi o zlikwidowanie, obrzydzenie Kościoła.***

o. Tadeusz Rydzyk, PCh24.pl, 23 marca

KLECHA

Wojtylicyzm won ze szkoły!

Może już pora, żeby papizm się doigrał?

Polska odmiana katolicyzmu jest jakąś dziką, gorszącą herezją. Więcej w niej bodajże kultu Pana Karola W. (tego od załatwiania pedofilom probostw w Austrii itp. akcji) niż Pana B. i Pana J. W 20 lat od połączenia się Karola W. w świętych obcowaniu z jego kumplami (Macielem Degollado, Groerem, Sadusiem itd.) warto by nareszcie pomyśleć o wywaleniu tego pseudochrześcijańskiego kultu z polskiej przestrzeni edukacyjnej. Czyż państwo nie ma obowiązku chronić dzieci przed zgorszeniem?

Gdy nie wiesz, jak się zachować, zachowaj się bezczelnie! Taka jest chyba dewiza życiowa funkcjonariuszy Kościoła katolickiego, bo jakże inaczej można interpretować ostatnie ich wyskoki w związku z lekcjami religii w szkole? Kardynał Nycz – jak gdyby nie wiedział, że Polska nie jest teokracją na podobieństwo Iranu – zażądał niedawno, aby lekcje religii były obowiązkowe dla wszystkich uczniów! Gdy to usłyszałem, natychmiast zapalił mi się w głowie czerwony krzyżyk medycznej troski o mentalne zdrowie ekscelencji (czy tam eminencji, kij go wie). Bo to może początki demencji, takie bzdury wygadywać?

Nawet jeśli Nycz faktycznie utracił kontakt z rzeczywistością prawną, kulturową, nie mówiąc już o moralnej, to jest to znamienne. W głowach milionów Polaków, a w tej liczbie księży i biskupów, zakarbowany jest średniowieczny „mental", którego swobodnej ekspresji na przeszkodzie nie staje idea demokratycznego państwa prawa, to jest państwa przestrzegającego zasad religijnej neutralności. Takowa idea bowiem pod ich czerepami po prostu nie zagościła, w przeciwieństwie do średniowiecznego wyobrażenia o Kościele i duchowieństwie jako mających szczególny dostęp do ucha Najwyższego i będących Jego agentami, czyli wykonawcami Jego woli na Ziemi. Skoro więc Kościół i jego hierarchowie to namiestnicy Boga na Ziemi, to o czym tu w ogóle jeszcze dyskutować? Czymże jest ludzka demokracja i ludzka równość w zestawieniu ze świętym posłannictwem i władzą Bożych sług na ziemskim padole? Zgoła niczym! Należy się przeto Kościołowi posłuszeństwo i basta.

Ostatnio min. Barbara Nowacka zapowiedziała łączenie klas (dzieci młodszych i starszych) w szkołach, gdzie popyt na indoktrynację wojtyło-katolicką (czyli tzw. katechezy) jest niewielki. To jej święte prawo. W haniebnym konkordacie rząd zobowiązał się do organizowania lekcji religii w szkołach, lecz nie do opłacania tych lekcji ani do tego, żeby wszystkie dzieci na lekcji były w tym samym wieku. A tymczasem Kościół, za pośrednictwem Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, złożył w tej sprawie skargę na Polskę w Europejskim Trybunale Praw Człowieka! Zasługuje ona na jedno tylko określenie: bluźniercza. Sąd broniący ludzi przez torturami i prześladowaniami, stojący na straży praw fundamentalnych, ma się zajmować skalą i zakresem wysługiwania się przez Rzeczpospolitą Polskę Watykanowi w zakresie organizowania i finansowania jego ideologii?! To policzek dla wszystkich prześladowanych i obraza dla samego trybunału. Ale nie popadajmy w egzaltację: poza pewną granicą bezczelność zmienia się w groteskę.

Rys. TOMASZ WIATER

Najwyższy czas skończyć z tym błazeństwem. Opłacanie przez państwo lekcji religii jest kpiną z art. 25 konstytucji, w którym to państwo polskie obiecuje obywatelom neutralność światopoglądową. Finansowanie religii ze środków publicznych – niezależnie od tego, czy jednej, czy wielu – oznacza, że upowszechnianie doktryn religijnych i wiary religijnej jest jakimś dobrem, którego wspieranie zasługuje na pieniężne wsparcie rządu. Ale jakim dobrem, skoro państwo trzyma się na dystans od tez i sporów religijnych? To oczywista niekonsekwencja.

Aby zamaskować jawną bezprawność używania publicznego systemu edukacji do propagowania ideologii katolickiej, w programach tzw. lekcji religii znajdują się informacje o innych wyznaniach. Trudno o większą naiwność niż przyjmowanie tego za dobrą monetę. To już chyba lepiej głaskać wilka w owczej skórze. Czyżby ni z tego, ni z owego nauczyciel religii miał na niektórych lekcjach zawieszać swoją jedyną misję, jaką jest propagowanie katolicyzmu jako jedynej religii prawdziwej i słusznej, po to, aby uczciwie informować o doktrynach i przekonaniach konkurencji? Czysta hipokryzja spotyka się tutaj z czystą naiwnością. A może wystarczy samo załganie, bo czyż są na świecie tacy naiwni, którzy mogliby uwierzyć w obrazek księdza mówiącego o judaizmie w sposób zupełnie niesugerujący, że chrześcijaństwo jest krokiem naprzód w stosunku do tego wyznania i jego „talmudycznej moralności"? Albo z szacunkiem o „pogaństwie", tępionym przez Kościół ogniem i mieczem. Dobre sobie!

Lekcje religii w szkołach są obowiązkowe wszędzie tam, gdzie panuje dyktatura. W Polsce religia ostatnio była obowiązkowa w mrocznych czasach stalinizmu. Dlaczego?

Ano dlatego, że totalitarne reżimy uwielbiają kontrolować najbardziej zabobonną część społeczeństwa za pomocą posłusznych sobie „kadr kapłańskich". Nieobowiązkowe lekcje religii to jakby blizna po ponurych czasach totalitaryzmu, z którego społeczeństwo nie potrafi się do końca otrząsnąć. A czymś pośrednim między sojuszami faszystów albo komunistów z Kościołem w dziele ogłupiania i kontrolowania mas oraz starannym oddzieleniem działalności państwa od wszelkiej religii są takie stosunki jak w dzisiejszej Polsce: religia wprawdzie nie jest obowiązkowa, ale bardzo silnie uprzywilejowana w systemie szkolnym i opłacana przez państwo.

Mam nadzieję, że skrajna niewdzięczność Kościoła, który zamiast dziękować państwu za coroczne miliardowe wydatki na nauczanie religii katolickiej w szkole, tylko mnoży roszczenia i pretensje, stanie się zarzewiem procesu prowadzącego do usunięcia ze szkół panoszących się tam bezceremonialnie czcicieli Karola W. Pycha kroczy przed upadkiem. Dziś pycha przekroczyła już wszelkie granice – w końcu przyszedł czas na upadek!

JAN HARTMAN

Fundusz Kościelno-Wyborczy

Nowa Lewica powinna dać na mszę za paliwo do kampanii

Jak wybory, to obietnice. Lewicy niespecjalnie idzie takie obiecywanie, które by zapewniło zauważalny słupek w sondażach. Formacja Czarzastego odwołała się więc do sprawdzonej metody – użyła lepu antyklerykalizmu. Choć społeczne wpływy Kościoła kat. są coraz mniejsze, to jego aktywa systemowe wciąż przynoszą mu zyski, a prawne przywileje pozostają nienaruszone. W te tony uderza Nowa Lewica, promując swoją kandydatkę na prezydenta.

ZUS dla kleru

– Fundusz Kościelny nie może być ZUS-em kleru. On musi zniknąć – zagrzmiała na konferencji prasowej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, szefowa resortu rodziny, pracy i polityki społecznej w towarzystwie Magdaleny Biejat, wyznaczonej przez Nową Lewicę do wyścigu o fotel głowy państwa.

– Likwidację Funduszu Kościelnego obiecała koalicja, obiecały partie wchodzące w skład obecnego rządu i czas najwyższy tę obietnicę spełnić. W poniedziałek razem z marszałkiem Czarzastym i posłanką Żukowską przedstawiliśmy szokujące dane, które pokazują, że poza Funduszem Kościelnym przez osiem lat rządów PiS z konkretnych ministerstw wypłynęło do Kościoła niemal 10 mld zł – mówiła Biejat na tej samej konferencji.

Konferencje i spotkania kandydatki lewicy nie cieszą się taką frekwencją jak spędy najwyżej notowanych kandydatów, ale hasło likwidacji Funduszu Kościelnego przebiło się do opinii publicznej. Slogan jest chwytliwy, bo brzmi tak, jakby w momencie likwidacji Funduszu Kościelnego klerowi został odcięty państwowy tlen i sczezłby dzień po tejże likwidacji. Panie z Nowej Lewicy zaznaczały wprawdzie, że Fundusz Kościelny to tylko jeden element nowotworu toczącego budżet, ale kampania rządzi się swoimi prawami.

Wielebni seniorzy

W perspektywie całości budżetu te 275 mln zł rocznie to nie jest przerażająco dużo, jednak oszczędzenie ich i przeznaczenie na inne cele byłoby symboliczne. Dziemianowicz-Bąk słusznie zwraca uwagę, że Fundusz Kościelny to „ZUS kleru". Wszyscy księża, zakonnicy i zakonnice (w tym misjonarze), którzy nie pracują na etacie (np. w szkole), mają z Funduszu opłacane składki emerytalne. Dla Kościoła jest to sprawa o tyle gardłowa, że nie chodzi właściwie o bieżące składki, ale o perspektywę armii emerytów w sutannach bez prawa do świadczeń. Swoją drogą, jest to także wyzwanie z punktu widzenia państwa, bo przecież ci emeryci w sutannach będą walczyć o przetrwanie i zaczną pukać do instytucji pomocowych po ofiarę na kawałek chleba powszedniego. Nie można wszak liczyć na to, że za wierną służbę ugoszczą ich po królewsku w swoich pałacach biskupi.

Koalicja miała wszelkie możliwości, by amputacji Funduszu dokonać już dawno. Ale do wykonania tej egzekucji wyznaczono Władysława Kosiniaka-Kamysza, który nie pali się do zdejmowania krzyży w urzędach i ustawach.

Prezes PSL przewodniczy Międzyresortowemu Zespołowi ds. Funduszu Kościelnego, który działa od stycznia 2024 r. O jego skuteczności najlepiej świadczy fakt, że Fundusz dalej działa, a Nowa Lewica obiecuje jego likwidację, jak gdyby nic wspólnego z rządem nie miała.

Minister obrony narodowej Kosiniak-Kamysz bardziej zajęty jest obroną Polski przed Ruskimi niż walką z wewnętrznym okupantem. Episkopat – zamiast drenować kieszenie podatników – powinien skuteczniej windykować składki od wiernych, wtedy by im wystarczyło na wszystko. Tak robią ich niemieccy odpowiednicy i żyją jak pączki w maśle. W Polsce jak zwykle jak w lesie.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Czarna lewica

Do torpedowania pomysłu likwidacji Funduszu – jakby Nowa Lewica miała jakąś moc sprawczą – rzuciły się autorytety kościelne. Dla nich to dobra okazja, żeby poopowiadać, że dzisiejsza lewica jest gorsza od stalinowców, bo z tych czasów (1950 r.) pochodzi ustawa o Funduszu Kościelnym. Kler przekonuje, że te pieniądze im się po prostu należą za to, co państwo polskie im zabrało, nie wnikając wszakże w meandry swojego wchodzenia w posiadanie tych dóbr.

Środowiska kościelne są pewne swego i lekceważąco odnoszą się do kampanijnych obietnic lewicy. Na stronach Katolickiej Agencji Informacyjnej subtelnie szydzą z tych zapowiedzi. „Kandydatka na urząd prezydenta RP Magdalena Biejat wskazuje, że »wreszcie« ma propozycję, która pozwoli zlikwidować Fundusz Kościelny. Trzeba zatem sprostować, że lewicowe partie polityczne wielokrotnie już przedstawiały projekty ustaw dążące do likwidacji FK, z których żaden nie spełniał wymogów konstytucyjnych. Nie inaczej jest tym razem" – pisze na stronie ekai.pl dr Łukasz Bernaciński, prawnik i autor monografii poświęconej Funduszowi Kościelnemu. I zapewne ma rację, choć nie o żadną konstytucję tu chodzi.

Wygląda na to, że idzie nie o to, by oddzielić Kościół od państwa, ale by go oddzielać. Nowa Lewica, kierując swoją antyklerykalną ofertę do niewierzących, ma ich chyba za wyjątkowo naiwnych. Antyklerykałowie porzucili Kościół, bo nie chcieli być traktowani jak idioci, a tu przychodzą ludzie od Czarzastego i nawijają makaron na uszy jak klechy.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 697f4c9371

Co tak naprawdę oznacza pojednanie Turcji z Kurdami?

Erdoğan po raz trzeci?

Rys. MARCIN CHUDZIK

Ugoda tureckich władz z ich najgroźniejszym, zwalczanym zbrojnie przez wiele lat przeciwnikiem Kurdyjską Partią Robotniczą (PKK) ma przede wszystkim wymiar wewnętrzny – choć w tle pojawia się również Syria.

Niespodziewany gołąbek pokoju

Zaczęło się w dość ciekawy sposób. Otóż z propozycją pojednania nie wystąpił ani prezydent Recep Tayyip Erdoğan, ani nikt z czołowych postaci jego Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP). Do roli tej został wyznaczony Devlet Bahçeli, lider Partii Narodowego Działania (MHP) będącej koalicyjnym partnerem ugrupowania prezydenta.

Jak sugeruje turecka edycja CNN, w trakcie spotkania za zamkniętymi drzwiami Erdoğana z Bahçelim obydwaj politycy omawiali przyszły scenariusz zwrotu w polityce wobec PKK.

Można domniemywać, że Erdoğan kalkulował, iż w przypadku odrzucenia oferty przez Kurdów odium niepowodzenia spadłoby na sojuszniczą partię, a on sam pozostałby czysty. W razie przyjęcia oferty mógłby ją oficjalnie poprzeć, pokazując się jako przywódca działający na rzecz pokoju i demokratycji.

Bahçeli był do tej pory nieprzejednanym przeciwnikiem wszelkich kontaktów z PKK. I właśnie dlatego fakt, że inicjatywa wyszła od niego, miałaby być odczytana jako mocny sygnał ze strony władzy: skoro nawet Bahçeli chce pojednania, to Erdoğan tym bardziej.

Uwięzionym Kurdom zaproponowano amnestię w zamian za wyrzeczenie się działań zbrojnych i złożenie broni. Amnestią miałby być także objęty odbywający karę dożywotniego więzienia założyciel i ideolog PKK Abdullah Öcalan, znany też pod pseudonimem Apo. Ponadto Erdoğan oświadczył, że Öcalan mógłby nawet wystąpić na forum parlamentu. Po to – jak argumentował z kolei Bahçeli – aby publicznie ogłosił, że kończy z terroryzmem i rozwiązuje PKK.

Coś za coś

Dlaczego turecki prezydent zdecydował się na tak radykalną zmianę kursu w stosunku do PKK, uznawanej – nie tylko przez niego – za ugrupowanie terrorystyczne? Bynajmniej nie ze względów humanitarnych. To gra polityczna związana z przyszłymi wyborami prezydenckimi. Co prawda mają się one odbyć dopiero w roku 2028, ale Erdoğan już teraz przygotowuje sobie grunt. Doszedł zapewne do wniosku, że dzięki układom z PKK pozyska zwolenników wśród ludności kurdyjskiej. Wsparcie inicjatywy przez MHP ma osłabić opór ze strony przeciwnych kontaktom z PKK nacjonalistów. Nieprzypadkowo Bahçeli mówił, że problemem Turcji nie są Kurdowie, lecz separatystyczna organizacja terrorystyczna.

Kwestia wyborów prezydenckich jest jednak skomplikowana z prawnego punktu widzenia. Turecka konstytucja nie pozwala Erdoganowi ubiegać się o trzecią kadencję, a jego koalicja nie dysponuje dziś większością konstytucyjną: partia prezydencka ma 323 deputowanych, do zmiany konstytucji potrzebne jest 360 głosów. Prezydent szuka ich więc w innych ugrupowaniach. Liczy na to, że złagodzenie kursu wobec Kurdów przyniesie mu przychylność ze strony prokurdyjskiej partii DEM – trzeciej siły w parlamencie, dysponującej 57 głosami. Erdoğan posunął się nawet krok dalej: oświadczył, że nie jest przeciwny temu, by przy okazji nowelizacji konstytucji wpisać do niej dodatkowe prawa dla Kurdów.

O ile wobec Kurdów Erdoğan przyjmuje postawę ugodową, to z całą bezwzględnością zwalcza swoich poważnych rywali w ewentualnym wyścigu prezydenckim. Najpoważniejszym z nich jest Ekrem İmamoğlu, który dwukrotnie wygrał wybory na mera Stambułu – pokonując za każdym razem kandydata AKP – i cieszy się dużą popularnością również w innych regionach Turcji. Niedawno został osadzony w areszcie pod zarzutem m.in. korupcji i machinacji związanych z przetargami. Jednak i tu pojawia się kurdyjski kontekst – sąd wycofał wysuwane wcześniej przez prokuraturę oskarżenie o wspieranie terroryzmu, co miało się przejawiać we współpracy z PKK. Pytanie, czy sąd dostał takie polecenie z góry, czy też samodzielnie wyczuł polityczną koniunkturę, pozostaje bez odpowiedzi.

Wątek syryjski

Pierwsze pojednawcze gesty w kierunku PKK miały miejsce w październiku zeszłego roku – jednak sprawa nabrała rozpędu z początkiem roku bieżącego. Zapewne ma to związek z faktem, iż w grudniu popierana przez Turcję formacja zbrojna Hajat Tahrir asz-Szam obaliła syryjską władzę. Czy w Ankarze szykowano się do tego puczu już na dwa miesiące przed tym, zanim do niego doszło – można się jedynie domyślać. Warto przy tym zauważyć, że ewentualne przymierze z tureckimi Kurdami będzie miało wpływ także na sytuację w Syrii. Niektóre rejony we wschodniej Syrii znajdują się bowiem pod kontrolą Ludowych Jednostek Ochrony (YPG) uważanych przez władze w Ankarze za odgałęzienie PKK. Kiedy w lutym Öcalan wezwał PKK do samorozwiązania i złożenia broni – co zostało przez PKK zaakceptowane – powstały przesłanki do unormowania sytuacji w kontrolowanej przez Kurdów części Syrii, zgodnie z oczekiwaniami zarówno władz w Ankarze, jak i w Damaszku.

Ustanowione przy pomocy Turcji nowe syryjskie władze w ślad za swoim sponsorem również poszły na układ z kurdyjskimi formacjami zbrojnymi. Szczególne znaczenie mają tu wspierane przez Stany Zjednoczone Demokratyczne Siły Syrii (HSD), które zarządzają utworzonym przez siebie autonomicznym regionem Rożawa. Tymczasowy rząd zawarł z nimi przymierze, na mocy którego HSD wyraziły gotowość przekazania nowej władzy wszystkich instytucji cywilnych i obiektów wojskowych. W zamian rząd zobowiązał się do zagwarantowania Kurdom takich samych praw jak innym grupom etnicznym. W umowie dwustronnej znajduje się zapis stwierdzający, że „kurdyjska społeczność jest zakorzenioną społecznością w państwie syryjskim, a rząd gwarantuje jej (…) wszystkie prawa konstytucyjne".

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Öcalan zadeklarował natychmiastowe zawieszenie broni. Niezależnie od intencji i politycznych kalkulacji Erdoğana oznacza to przywrócenie pokoju w Turcji. Biorąc jednak pod uwagę dynamicznie zmieniające się bliskowschodnie realia, trudno nie zadać sobie pytania: na jak długo? W razie czego Erdoğan już teraz przestrzega, że wznowi działania zbrojne wobec bojowników PKK, gdyby złamali oni swoje obietnice dotyczące rozbrojenia.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Trumpolandia

Donald Trump podpisał dekret nakazujący wiceprezydentowi Vance'owi wyeliminowanie „ideologii rasistowskiej" z muzeów, ośrodków edukacyjnych i badawczych oraz ogrodu zoologicznego Instytutu Smithsonian. Trumpa sprowokowała wystawa „Kształt władzy – historie rasy i amerykańska rzeźba" pokazująca, że ludzie biali i niebiali nie byli w amerykańskiej sztuce traktowani tak samo. W didaskaliach wystawy znalazła się informacja, że ludzie, niezależnie od koloru skóry, w 99,9 proc. dzielą ten sam genotyp. Administracja Trumpa nie do końca wie, o co jej chodzi – z jednej strony oburza się, że ekspozycja „promuje pogląd, że rasa nie jest rzeczywistością biologiczną, ale konstruktem społecznym"; z drugiej zaś zakazuje wystaw, które „dzielą Amerykanów ze względu na rasę" – ale instynktownie przeczuwa, że z tą rasą coś jest nie tego. Jednak wyeliminowanie zagadnienia rasy z zoo może być niełatwe.

Elon Musk usiłował kupić sędziego Sądu Najwyższego stanu Wisconsin. Wydał na niego 25 baniek; między innymi wręczył dwa czeki po milionie dolków wyborcom, którzy firmowali petycję przeciwko „sędziom aktywistom". Elon pokazał się nawet na wiecu w czymś o nazwie cheesehead – „serowy łeb" – co jest slangowym określeniem wisconsiniaków i nazwą czapki w kształcie kawałka sera z dziurami. Być może to ostatnie obraziło obywateli dumnego stanu, bo trumpowy kandydat Brad Schimel dostał wpierdol od liberałki Susan Crawford. Zaangażowanie Muska miało oczywiście charakter czysto ideowy: Sąd Najwyższy stanu Wisconsin będzie wkrótce orzekał w sprawie praw pracowniczych, w tym prawa do zrzeszania, a także obowiązującego w stanie przepisu zmuszającego producentów samochodów do korzystania z pośrednictwa dilerów. Tesla sprzedaje swoje samochody bezpośrednio – a ostatnio jakoś słabo jej to idzie.

Wall Street, która zbiorowo poparła Trumpa w nadziei na dalszą deregulację oraz cięcia podatków dla korporacji i miliarderów, zaczyna odczuwać niepokój. Administracja przystąpiła bowiem do zwalczania firm stosujących zasady DEI (różnorodności, równości i integracji) – takie jak zatrudnianie i awansowanie pracowników z grup dyskryminowanych, szkolenia antydyskryminacyjne, partycypacja pracownicza. Trump uznał to za „nielegalną i niemoralną dyskryminację" i wydał dekret zakazujący takich praktyk w administracji federalnej – a teraz poszedł krok dalej. Szef Federalnej Komisji Łączności (FCC) Brendan Carr ogłosił, że jego organ, w którego gestii jest m.in. zatwierdzanie fuzji medialnych (w teorii ma to być działanie antymonopolowe), zablokuje każdą fuzję, która miałaby dotyczyć firm z polityką DEI. „Jeśli są jeszcze firmy, które nadal promują krzywdzące formy dyskryminacji DEI, naprawdę nie widzę sposobu, aby FCC mogła uznać, że zatwierdzenie takiej transakcji będzie w interesie publicznym" – ogłosił Carr.

Kiedy Elon Musk wystosował do dwóch milionów państwowych urzędników maila zatytułowanego „Rozdroże" – w którym pisał, że albo odejdą sami, albo najpewniej zostaną wyjebani – Trump wsparł go ogłoszeniem, że ci, którzy uprą się przy pracy, będą musieli odsiadywać dupogodziny w pełnym wymiarze, choć od covidu spora część pracowała zdalnie lub hybrydowo. Teraz okazuje się, że także poprzednia administracja dokonywała oszczędności, rezygnując z niepotrzebnych biurowców. Dla pracowników najpotężniejszego państwa na świecie brak biurek, krzeseł, nie wspominając już o miejscach parkingowych – kluczowych w kraju, gdzie komunikacja publiczna praktycznie nie istnieje. Najbardziej dotkliwym problemem zgłaszanym przez urzędników powracających do biur jest notoryczny brak papieru toaletowego. Nawet my, piewcy Polski Ludowej z „NIE", wiemy, że kraj, który nie zapewnia swoim obywatelom srajtaśmy, nie ma prawa przetrwać. Trzymamy kciuki za dalsze niedobory w kiblach administracji federalnej USA.

AWŁ

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Poseł do Rady Najwyższej Ukrainy Jarosław Żeleźniak opublikował założenia nowej umowy surowcowej przedstawionej władzom Ukrainy przez administrację prezydenta Trumpa. Pieczę nad wszelkimi kopalinami Ukrainy miałby sprawować Amerykańsko-Ukraiński Fundusz Inwestycyjny Odbudowy i Rozwoju, w którym większość stanowiliby nominaci amerykańscy. Z kolei nominaci ukraińscy musieliby zostać zatwierdzeni przez Amerykanów. Fundusz kontrolowałby zarówno wydobycie realizowane przez spółki państwowe, jak i prywatne, a zyski byłyby przewalutowywane i transferowane do USA w ramach spłaty długu wdzięczności za udzieloną Ukrainie pomoc. W razie jakichkolwiek opóźnień Ukraina musiałaby dopłacić brakującą sumę z budżetu. W myśl nowej umowy Amerykanie mieliby również pierwszeństwo w realizacji wszelkich projektów infrastrukturalnych i mogliby wetować transakcje handlowe między Ukrainą a państwami trzecimi. Umowa miałaby obowiązywać bezterminowo, jakiekolwiek zmiany bądź wypowiedzenie byłyby możliwe wyłącznie za zgodą Amerykanów, a ewentualne sprawy prawne rozpatrywałby sąd w Nowym Jorku.

☆ Przy okazji obcinania przez administrację Trumpa funduszy na tzw. pomoc zagraniczną, dowiedzieliśmy się, że w 2024 r. amerykańska administracja przeznaczyła ok. 30 mln zł na działania mające wpływać na sytuację polityczną w Polsce. Tygodnik „Polityka" donosi: *Zagraniczne dotacje to wciąż kluczowe wsparcie dla instytucji pozarządowych w Polsce* (…) *Jak wynika z badań z 2024 r. przeprowadzonych przez Stowarzyszenie Klon/Jawor, połowa NGO-sów zajmujących się uchodźcami i migrantami w Polsce wskazuje dotacje zagraniczne jako główne źródło finansowania. Granty amerykańskie uchodzą za najbardziej przyjazne.* Najwyższy czas powołać sejmową komisję ds. wpływów amerykańskich.

☆ Najwybitniejszy umysł polskiej armii – gen. Waldemar Skrzypczak – podzielił się swoimi głębokimi przemyśleniami nt. Rosji na łamach dziennika „Fakt": *Propaganda rosyjska w tej chwili jest na etapie wycia. Oni wyją. Dlaczego? Dlatego że Europa się zjednoczyła. Putin jest zaskoczony tym, że Europa się zjednoczyła. To doprowadziło do furii propagandę rosyjską. Ja słyszę z Moskwy tylko wycie. Atakowanie nas i wszystkiego, co jest naszymi wartościami, ponieważ oni w tej chwili zrozumieli, że ta zjednoczona Europa jest zagrożeniem dla agresywnych planów Putina.* Korzystając z okazji, przypominamy analizę gen. Skrzypczaka, którą wygłosił 7 marca 2022 r. na antenie Radia Zet: *Rosjanie gonią resztkami sił. Pododdziały rosyjskie już prawie utraciły zdolność bojową. Ich straty są na poziomie 30–40 proc. Zajęte obszary przez Rosjan są tylko zajęte tam, gdzie wojsko stoi.* (…) *W ciągu dwóch, trzech dni, maksymalnie pięciu wojna na Ukrainie się rozstrzygnie.*

Rys. MARCIN CHUDZIK

☆ O tym, jakie konsekwencje dla Polski przyniesie militarne zjednoczenie Europy, mówi w wywiadzie dla „Do Rzeczy" Bartosz Kopczyński: *Nowa polityka obronna, polegająca na odstraszaniu Rosji, a tak naprawdę na wabieniu Rosji do ataku, połączona z koncepcją całościowej obrony daje nam ostateczny wynik. Jeśli się uda, to Europejska Unia Obronna wprowadzi Polskę do wojny, wykorzystując Rosję.* (…) *„Wzmocnione" społeczeństwo – mężczyźni, kobiety, dzieci – będzie miało zaszczyt swoimi ciałami zasłonić UE przed agresywną Rosją. Już teraz polscy mężczyźni w wieku średnim otrzymują przydziały mobilizacyjne, premier zapowiada masowe przeszkolenie, a wiceminister spraw wewnętrznych doradza, aby przygotować się na 72 godziny bez państwa.* (…) *Tak właśnie przygotowuje się Polaków na wgniatanie w ziemię, tyle że my nie będziemy nikogo wgniatać, lecz będziemy wgniatani.* Ciekawe, co na to marszałek Hołownia?

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 697f4c9371

Diament i popiół?

GADMAN

Stowarzyszenie stało się ofiarą własnego sukcesu

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Historia, która wam dziś opowiem, może być znakomitym tematem filmowym. Zastrzegam, że nie będę obiektywnym felietonistą. Nie będę ukrywał swych poglądów i towarzyskich związków z bohaterami. To, co będę wam opowiadał, to także część poczciwego żywota mojego.

Historia chwalebna

Jacek Bromski był prezesem Stowarzyszenia Filmowców Polskich przez 28 lat. Wybierano go w demokratycznych wyborach i równie demokratycznie odwołano. W zeszłym roku przegrał różnicą czterech głosów. Niewielką, bo podczas ostatniego głosowania na dwóch kandydatów oddano w sumie 1026 głosów.

W czasie swych rządów Bromski zbudował finansową i polityczną potęgę SFP. Dziś to stowarzyszenie jest właścicielem warszawskiego kina Kultura i sąsiadującej restauracji Cinema Paradiso. A także domów pracy twórczej w Sopocie i Kazimierzu nad Wisłą oraz warszawskiej kamienicy przy ulicy Pańskiej 85. Mieszczą się tam siedziba władz i biura SFP, Studio im. Andrzeja Munka produkujące filmy wspieranych debiutantów, redakcja miesięcznika „Magazyn Filmowy", sale zebrań, wystaw i ceniona przez smakoszy restauracja Klub Pańska 85.

Wszystkie te dobra SFP kupiło. Ale nie za pieniądze z budżetu państwa, czyli polskich podatników – co wiele nieprzychylnych filmowcom mediów sugeruje – lecz swoich członków. Oczywiście stowarzyszenie nie kupiło tych dóbr za składki członkowskie, bo roczna składka to niewiele ponad 100 zł, a członków ma SFP około 1900. Majątku stowarzyszenia nie zasiliły też darowizny żywych i zmarłych miłośników kina. W Polsce ciągle artyści oczekują wsparcia od budżetu państwa, a nie bogatych prywatnych entuzjastów sztuki.

Stowarzyszenie rosło w finansową siłę, bo prezes Bromski i zarządy SFP doprowadziły do korzystnych dla twórców filmowych rozwiązań prawnych.

W 2000 r. Sejm RP znowelizował ustawę o prawach autorskich. Wzmocniliśmy wtedy prawa twórców do uzyskiwania tantiem, czyli wynagrodzenia za emisje ich filmów w Polsce i na całym świecie.

Piszę „wzmocniliśmy", bo byłem wtedy posłem i pracowałem w sejmie na takie wzmocnienie. Dziś mogę zdradzić, że wtedy dopisałem operatorów filmowych do puli twórców uprawnionych do otrzymywania wynagrodzeń. Ku ich zaskoczeniu. Ale zawsze uważałem, że operator filmowy jest także współtwórcą dzieła filmowego i wynagrodzenie zwyczajnie mu się należy.

Korzyści materialnych za to nie chciałem i nie dostałem, uprzedzam ewentualne pytania.

Po nowelizacji prezes Bromski założył działającą przy SFP organizację zbiorowego zarządzania prawami autorskimi, czyli Związek Autorów i Producentów Audiowizualnych. Znany jako ZAPA. Dzięki temu ZAPA i SFP mogły podpisywać umowy z twórcami filmowymi. Zobowiązywały się monitorować projekcje filmów i ściągać dla uprawnionych twórców należne im wynagrodzenia, zwane tantiemami. Za pilnowanie ich interesów ZAPA-SFP pobierało od ściągniętych tantiem opłatę w wysokości 10 proc. W ten sposób uzyskaną kasę władze SFP przeznaczały na swą działalność. Tak rósł majątek stowarzyszenia.

W czasie kadencji Bromskiego SFP i ZAPA podpisały umowy o współpracy i wzajemnej ochronie praw autorskich z kilkudziesięcioma organizacjami w Europie, Azji i obu Amerykach. W efekcie efektywnej działalności, przy obrotach powyżej 100 mln zł rocznie, dawało do niezły profit SFP.

I niezależność stowarzyszenia od budżetu państwa, czyli łaski kolejnych ministrów kultury.

Na podobnych zasadach działa też Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych ZAiKS. Nie potrafiły tak pozyskiwać pieniędzy związki skupiające literatów, aktorów, plastyków i przede wszystkim dziennikarzy. Nic dziwnego, że bogate SFP budziło zawiść dziennikarzy i biednych stowarzyszeń innych twórców.

PO nie poparło

Prezes Bromski jest też współtwórcą ustawy o kinematografii z 30 czerwca 2005 r. Powołała ona Polski Instytut Sztuki Filmowej. Wprowadziła nowe zasady wspierania twórczości filmowej, zwłaszcza finansowe. Zamiast dotychczasowego finansowania kinematografii z budżetu państwa powstał system niewielkich podatków pobieranych od instytucji czerpiących zyski z polskich filmów. Płacić zaczęli właściciele kin komercyjnych, telewizji, sprzedawcy sprzętu do odtwarzania, a nawet platformy streamingowe.

Byłem posłem pilotującym tę ustawę. Stworzyliśmy ją w sejmowej podkomisji z dwóch projektów. Jedynym klubem parlamentarnym, który konsekwentnie głosował przeciwko ustawie, był klub Platformy Obywatelskiej. Pomimo tego wielu popularnych w mediach filmowców deklaruje poparcie dla partii Tuska.

Kilka lat później znana w sejmie lobbystka zdradziła mi żartobliwie, że kilka korporacji niechętnych płaceniu nowego podatku pytało ją,

czy nie udałoby się dać mi siedmiocyfrowej łapówki za wstrzymanie prac nad ustawą. Uznano jednak, że jej nie wezmę, bo pracuję też dla Urbana. Urban dobrze płaci, a tygodnik „NIE" nagłośni taką bezecną ofertę. Tak to Urban został gwarantem mojej parlamentarnej uczciwości.

Już po trzech latach Polski Instytut Sztuki Filmowej i nowy system finansowania zostały powszechnie zaakceptowane nawet przez komercyjne telewizje i sieci kinowe. Bo dzięki finansowym pożyczkom z PISF-u dla polskich producentów radykalnie wzrosła produkcja polskich filmów i ich jakość. Wtedy polska widownia wróciła do kin i przed telewizory, aby oglądać polskie produkcje, a to zwiększyło podaż reklam.

Spadł za to wpływ Ministerstwa Kultury na kinematografię, bo odpowiadać za nią zaczęły PISF oraz środowisko twórców i producentów filmowych. Dopiero za rządów PiS minister Piotr Gliński, niezgodnie z ustawą, wyrzucił z pracy dyrektorkę PISF Magdalenę Srokę. Niestety, obecna ministerka Hanna Wróblewska kontynuuje podobne praktyki. W efekcie PISF czeka na wybór swego dyrektora. A to też negatywnie wpływa na wizerunek środowiska filmowego w społeczeństwie.

Prezes pod pręgierzem

Gdyby zsumować wymienione powyżej zasługi prezesa Bromskiego, to mógłby mieć przynajmniej tablicę pamiątkową na Pańskiej 85. Ale w zeszłym roku doszło do buntu zarządu głównego SFP przeciwko Bromskiemu. Oskarżono go o autorytarne rządy, czerpanie nienależnych korzyści finansowych, nepotyzm i sitwiarstwo.

Spór dał ministerstwu kultury pretekst do przeprowadzenia kontroli działalności SFP. Po kontroli powstał raport, którego bulwersujące fragmenty wyciekły do mediów związanych z Koalicją Obywatelską. Członkowie SFP-ZAPA pełnego raportu nie dostali. Choć to oni finansowali działalność prezesa Bromskiego, zarządu SFP, dyrektora biura SFP i stowarzyszenia.

Ujawnione przez media zarzuty można podzielić na populistyczne i merytoryczne. Najsilniej z tych populistycznych przebiła się w mediach informacja, że w SFP w latach 2020–2024 wydało na alkohol prawie 1 mln 245 tys. zł. Czyli prawie 260 tys. rocznie. Czyli prezes Bromski rozpijał filmowców jak żydowski karczmarz chłopów.

Ujawniające media nie podały informacji, że co roku wszyscy członkowie SFP otrzymywali z okazji wigilii Bożego Narodzenia świąteczną flaszkę wypasionej, firmowanej przez SFP wódki. Bardziej ekskluzywne flaszki wręczano międzynarodowym partnerom SFP jako prezenty i były przyjmowane przez nich z wielkim zadowoleniem.

Ale są w raporcie też zarzuty poważne. Podliczono, że za prezesowanie stowarzyszeniu Jacek Bromski zarobił od stycznia 2020 do lutego 2024 r. ponad 3,7 mln zł. Jeszcze więcej, bo 5,6 mln zł zarobiła w tamtym czasie ówczesna dyrektor biura SFP. Za wysokość jej zarobków odpowiadają prezes i zarząd SFP. Wysokie zarobki prezesa Bromskiego wynikały z umowy przewidującej, że otrzymuje on dodatkowe wynagrodzenie za swą pracę na rzecz ściągania tantiem dla filmowców.

Takie tantiemy od tantiem.

Umowa ta nie była znana wszystkim członkom SFP-ZAPA. Jej ujawnienie podczas zeszłorocznych wyborów prezesa SFP spowodowało przegraną Bromskiego w wyborach.

Teraz nowy prezes Grzegorz Łoszewski i firmujący ministerialny raport wiceminister Maciej Wróbel zapowiadają złożenie zawiadomienia o przestępstwie Bromskiego do prokuratury. Były prezes Bromski chce bronić swej niewinności w sądzie. Pożyjmy, może doczekamy się finałów sporów w sądach.

Dziś warto rozstrzygnąć dylemat. Czy prezes stowarzyszenia „zarabiającego" setki milionów dla swych członków/akcjonariuszy ma prawo do milionowych zarobków? A także do luksusowego samochodu służbowego, biletów lotniczych klasy biznes, wydatków „reprezentacyjnych"?

Czy niezależne finansowo stowarzyszenia twórcze mogą być partnerami dla ministerstwa kultury czy muszą pozostawać wobec ministra w pozycji klienta?

Dziś w efekcie swej kontroli minister kultury może ukarać SFP. Ku radości mediów i społeczeństwa zbulwersowanych hulaszczym stylem życia filmowców. Może minister nałożyć milionową karę na SFP. Może nawet cofnąć SFP-ZAPA zezwolenia na ściąganie tantiem i skończyć z ich niezależnością finansową.

W zeszłym wieku tworzył w Polsce Julian Antonisz. Robił filmy technika noncamerową, malował kolejne kadry na taśmie filmowej. W 1979 r. zrobił ironiczny „Ostry film zaangażowany". Opowiadał o losie komercyjnych kiosków, które były jednocześnie słupami informującymi o życiu kulturalnym w miastach. Do czasu afery z „chytrą kioskarką".

Owa kobieta zamiast mieć w ajencji jedynie jeden przysługujący jej kiosk, czerpała zyski z potajemnego posiadania dwóch. Kiedy media ujawniły ten proceder i wywołały populistyczny gniew, to władza zechciała zareagować skutecznie. Zlikwidowała problem, likwidując wszystkie kioski.

PIOTR GADZINOWSKI

REKLAMA

eprasa.pl 697f4c9371

Jak kopią dziewczyny

Starszy pan się zakochał. Zakochał w naszych futbolistkach.

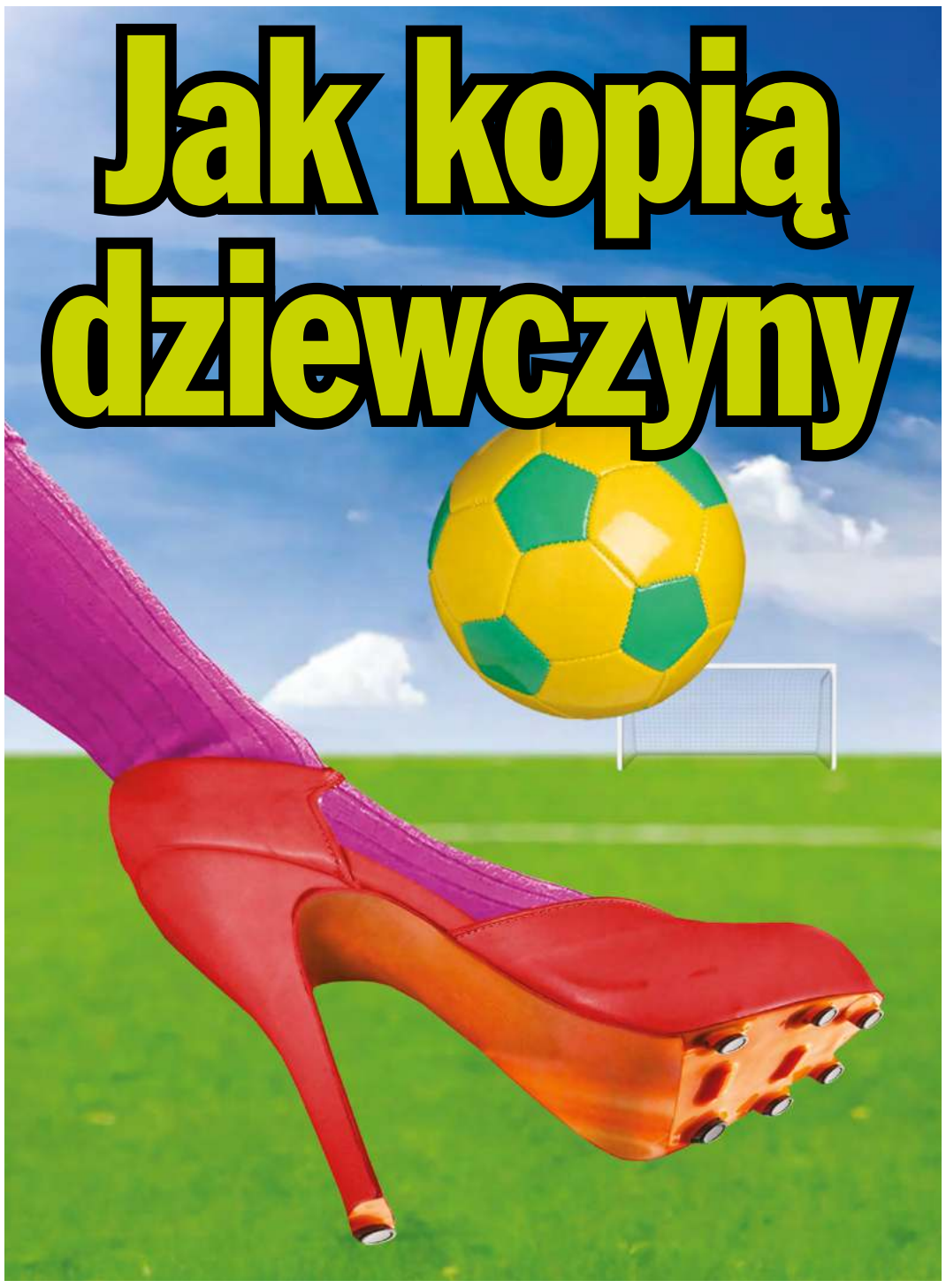

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Żeńska i męska reprezentacja Polski w piłce nożnej w jednym są podobne. Rzadko powoływani są do nich zawodnicy z polskich klubów. Piłkarki, podobnie jak piłkarze, wywodzą się z najlepszych lig świata. To jedyne podobieństwo.

Między orlętami

Ewa Pajor gra w FC Barcelona, Paulina Dudek w Paris Saint-Germain, Małgorzata Mesjasz w AC Milan, Adriana Achcińska i Sylwia Matysik w 1. FC Köln. Natalia Padilla-Bidas wypożyczona jest z Bayernu Monachium do Sevilla FC, ale w tej chwili walczą o nią czołowe europejskie kluby – a, jak sama zawodniczka przyznaje, o tym, gdzie ostatecznie wyląduje, decyduje jej menedżer i właściciele klubów. Natalia niewiele ma do powiedzenia.

Polską Ekstraligę reprezentują w kadrze bramkarka Kinga Seweryn (GKS Katowice), grająca w pomocy Martyna Brodzik (Pogoń Szczecin), napastniczka Klaudia Słowińska (GKS Katowice) – co nie znaczy, że wszystkie zawodniczki z naszych klubów wyjdą w podstawowej jedenastce. Kadra liczy 23 futbolistki. Trenerka ma z kogo wybierać.

Jeśli kogoś denerwuje, że wymieniam tak wiele nazwisk, przypomnę, iż spełniam tylko obietnicę daną po historycznym – bo pierwszym w historii naszego sportu – awansie reprezentacji do finałów kobiecych mistrzostw Europy. Zapowiadałem wówczas, że w miarę zbliżania się lipcowej imprezy będziemy poznawać wszystkie nasze piłkarki – tak aby nasza znajomość kadry nie ograniczała się do gwiazdy FC Barcelona Ewy Pajor.

Najsprawiedliwiej byłoby przedstawić całą kadrę. Zyciorys każdej z tych dziewczyn godny jest szczegółowego opisu; myślę, że niejeden nadawałby się na scenariusz filmowy. Zresztą, wiele z nich byłoby podobnych.

Ewa Pajor mieszkała w liczącej 70 mieszkańców wsi, można więc z całą pewnością stwierdzić, że znało ją 69 osób. Dziś zna ją cały sportowy świat. Jej talent dostrzegł nauczyciel wychowania fizycznego, a jednocześnie trener futbolu Piotr Kozłowski. Ponieważ w okolicy poza Ewą nie było innych piłkarek, włączył ją do drużyny chłopców. Przykład Piotra Kozłowskiego – z którym, nawiasem mówiąc, Ewa utrzymuje przez cały czas dobry kontakt – powinien być podawany podczas licznych dyskusji o roli i znaczeniu wychowania fizycznego w szkole. Przykład lepiej oddziałuje niż gadanie.

Pierwsze mecze w drużynie Orlęta Wielenin Ewa grała więc z chłopakami. Dopiero gdy zainteresował się nią klub Medyk Konin, trafiła do – jeśli można użyć takiego sformułowania – prawdziwej kobiecej piłki nożnej.

Trawa mniej zielona

Dalej losy Ewy potoczyły się tak jak zawodowego futbolisty. Z Konina trafiła do bardzo silnej wówczas drużyny VfL Wolfsburg, gdzie najpierw grała w drugim, rezerwowym zespole, zanim przebiła się do pierwszego składu, z którym pięciokrotnie zdobyła mistrzostwo Niemiec i cztery razy zagrała w finale Ligi Mistrzyń. W ubiegłym roku, po dziewięciu latach spędzonych w Wolfsburgu, zmieniła barwy klubowe i jest teraz środkową napastniczką FC Barcelona i królową strzelczyń Liga F, czyli żeńskiego odpowiednika Primera División.

Dziś Ewa Pajor z uśmiechem wspomina, że dopiero po przejściu do Medyka dowidziała się, że istnieje coś takiego jak żeńska piłka nożna. Wcześniej myślała, że tylko ona jedna jest takim dziwolągiem. Trudno się dziwić. Kobiecy futbol w naszym kraju ma bardzo krotką historię. Pierwsze i to nieoficjalne mistrzostwa Polski rozegrano w sezonie 1979/1980. Występowały w nich – i po prawdzie w większości występują do dziś – amatorki łączące treningi i mecze z nauką lub pracą. Profitów z tego nie mają, choć w ostatnich latach pomaleńku się to zmienia.

Żeńskim futbolem zainteresował się Polski Związek Piłki Nożnej,

pojawiły się jakieś pieniądze, ale regułą jest, że gdy na tym samym obiekcie trenują panie i panowie, panie spychane są na boisko o gorszej murawie. To tylko drobniutki przykład równouprawnienia w naszym futbolu.

W Europie najsilniejsze kluby, właśnie takie jak FC Barcelona, Arsenal Londyn, Chelsea Londyn czy Paris Saint-Germain, prowadzą żeńskie sekcje, które także należą do najsilniejszych. Olympique Lion w kobiecej piłce jest zdecydowanie silniejszy niż jego męski odpowiednik. Każda zdolna europejska piłkarka marzy o wyjeździe albo do Barcelony, albo do Olympique. W Polsce także nareszcie znane kluby zaczęły interesować się żeńską piłką.

Nawiasem mówiąc, VfL Wolfsburg, w którym tak długo i z takimi sukcesami grała Ewa Pajor, stracił pozycję w europejskiej czołówce. Polka nie jest jedyną czołową zawodniczką, która opuściła zespół; sytuacja finansowa klubu zmusiła go do – nazwijmy rzeczy po imieniu – rozprzedania czołówki. Miłe było, że gdy podczas meczu Ligi Mistrzyń FC Barcelona przyjechała do Wolfsburga, kibice przywitali Ewę brawami, co nie zawsze w takich okolicznościach się zdarza.

Z Boruszowa do Bazylei

Oczywiście w Europie, nie mówiąc już o Polsce, zarobki piłkarek nawet nie zbliżają się do tego, ile za grę dostają ich koledzy. Owszem, mecze kobiet zapełniają trybuny nawet dużych obiektów, a spotkania transmitują różne stacje telewizyjne (także z Polski), to wszystko jest jednak lata świetlne za męskimi rozgrywkami. Myślę, że panie pogodziły się z tym faktem, ale domagają się przynajmniej poważnego traktowania i niespychania na gorsze boiska treningowe, żeby ustąpić miejsca kolegom.

Ewa Pajor nie jest jedyną polską piłkarką z małej mieściny, przed którą futbol otworzył wielki świat. Urodzona w Oleśnie Oliwia Woś zaczynała od kopania piłki z wujkami w Boruszowie. Wcześnie wyjechała do Niemiec, gdzie amatorsko bawiła się w piłkę i uczestniczyła w różnych obozach, które odwiedzali łowcy talentów dla swoich klubów. Tak trafiła do VfL Bochum, ale nie potrenowała tam długo, bo jako 18-latka wyjechała na studia do Stanów Zjednoczonych.

W Stanach uczyła się na wydziale Communication, Media and Theatre (Oliwia nie wie, jak to dokładnie przetłumaczyć, też miałbym kłopoty) i grała w amatorskiej kobiecej drużynie Wake Forest. Z USA wróciła do Niemiec, gdzie pomaleńku pięła się w karierze, aż trafiła do znanej Arminii Bielefeld. Stamtąd przeniosła się do Szwajcarii, do FC Zürich Frauen, a następnie do obecnego klubu FC Basel Frauen, gdzie – jak twierdzi – poczuła się wreszcie na swoim miejscu i ściągnęła do Bazylei koleżankę z polskiej kadry Wiktorię Zieniewicz.

Trenerka polskiej kadry Nina Patalon, o której koniecznie trzeba będzie napisać przynajmniej parę słów, nazywa Oliwię Ścianą – bo istotnie rosłą, ale przy tym szybką i zwrotną stoperkę bardzo trudno jest wymanewrować. Oliwia, podobnie jak wszystkie nasze piłkarki, jest pewna siebie, wcale nie przeszkadza jej ksywa Ściana. Jest przekonana, iż mentalnie potrafi sprostać najgroźniejszym rywalkom, a z takimi przyjdzie się mierzyć w grupie eliminacyjnej mistrzostw Europy.

Los nie mógł być bardziej okrutny dla debiutantek na wielkiej międzynarodowej imprezie; przyjdzie im kolejno zagrać z Niemkami, Szwedkami i Dunkami, reprezentacjami od lat odnoszącymi sukcesy na międzynarodowej arenie.

Mają gadane

Oliwia Woś wyjechała z kraju jako dziewczynka, długo przebywała w Niemczech, studiowała w Stanach, teraz mieszka w Szwajcarii, nie zapomniała języka polskiego, ale czasem ma problem z jakimś słowem albo zwrotem. Dobrze mówi natomiast w naszym języku Tanja Pawollek, choć urodziła się w Niemczech, tam mieszka z rodzicami i tam trenuje piłkę w klubie Eintracht Frankfurt, którego zresztą jest kapitanką. Jej rodzice wyjechali do Niemiec z Polski, w domu mówi się po polsku. Tanja zaznacza, że dobrze radzi sobie także z godką śląską. Talent pomocniczki widoczny był już w jej pierwszym klubie TV Hausen, nic dziwnego, że pojawili się w jej otoczeniu działacze niemieckiego związku piłkarskiego. Tanja Pawollek zagrała wcale niemało meczów dla młodzieżowych reprezentacji naszego zachodniego sąsiada, jako seniorka zdecydowała się jednak grać dla biało-czerwonych.

Równie dobrze z naszym niełatwym językiem radzi sobie partnerka Ewy Pajor w ataku Natalia Padilla-Bidas. Urodziła się 22 lata temu w słynnym na cały świat kurorcie Marbella nad Morzem Śródziemnym, w hiszpańsko-polskiej (ojciec Hiszpan, matka Polka) rodzinie. Panu Padilli nie bardzo spodobało się w Polsce, za zimno i za mało słońca. Rodzina postanowiła zamieszkać w Hiszpanii, a ich córeczka Natalia dostała prawdziwego kręćka na punkcie piłki nożnej. Każdą chwilę spędzała z futbolówką przy nodze, a jeśli warunki na to nie pozwalały, podbijała stopą małą piłeczkę. Poważne treningi zaczęła w Hiszpanii, później przeniosła się do Niemiec. Trenerka Nina Patalon, która prowadziła wówczas reprezentację U-17, nie mogła nie zauważyć zdolnej napastniczki. Wysłała powołanie do Hiszpanii.

Natalia spakowała sportowe koszulki, spodenki, dresy i przyjechała do Polski. Na miejscu dowiedziała się, że niepotrzebnie dźwigała cały bagaż. Nie był to – jak sądziła Natalia – jakiś młodzieżowy obóz, ale pełną gębą zgrupowanie reprezentacyjne, na którym dziewczyny dostały całe niezbędne wyposażenie. Szybko znalazła wspólny język z koleżankami, tym bardziej że językowych problemów nie miała. Matka rozmawiała z nią tylko po polsku, więc była to prawdziwa dwujęzyczna rodzina.

Przyjaźnimy się z żoną z takim dwujęzycznym niemiecko-polskim małżeństwem Klingerów. Markus mówi tylko po niemiecku, Maja – po niemiecku i po polsku. Ich synowie Dominik i Sebastian z ojcem rozmawiają po niemiecku, z matką wyłącznie po polsku. Chłopaki są prześmieszne. Przechodzą z języka na język, jakby ktoś przekręcił gałkę w nadajniku. Seba chce zostać zawodowym piłkarzem, trenował w uznanym niemieckim klubie, niestety doznał kontuzji, która najprawdopodobniej uniemożliwi mu poważną grę i będzie się musiał bardziej przyłożyć do nauki, na co ma średnią ochotę.

Sukces z przeoczenia

Wspomniałem już o zdrowej pewności siebie naszych piłkarek. Natalia Padilla-Bidas na pytanie o cel, do którego dąży, bez chwili namysłu odpowiada: „Złota Piłka – nagroda dla najlepszej piłkarki świata”.

Nina Patalon, jedyna Polka z trenerską licencją UEFA Pro, była zawodniczką Medyka Konin, a później zajęła się szkoleniem w swoim klubie i pomaleńku pięła się coraz wyżej. To naprawdę mądra kobieta, a reprezentantki pytane o to, jaka jest na co dzień, odpowiadają identycznie: „Bardzo wymagająca”. Jednocześnie widać, że nie stara się siłą narzucać swojego zdania, rozmawia, przekonuje. W końcu zanim przejęła najważniejszą żeńską kadrę, prowadziła zespoły młodzieżowe i doskonale zna swoje piłkarki. Wie, czego może od nich wymagać. Wręcz modelowa ścieżka kariery.

Był taki moment, gdy reprezentacja przegrywała mecz za meczem. W każdym klubie wyrzucono by szkoleniowca, w reprezentacji chyba także. Na szczęście w PZPN nikt za bardzo nie zawracał sobie głowy kobiecym futbolem. Dlatego mamy historyczny sukces.

Obiekt mojej kibicowskiej miłości nie będzie wszystkiego wygrywać. Zważywszy, z kim spotkają się Polki w rozgrywanych w Szwajcarii mistrzostwach Europy, możliwe, że przegrają wszystkie grupowe mecze i wrócą do domu. Jestem jednak pewien, że nawet po porażkach nie będziemy musieli się wstydzić za dziewczyny. Będą walczyć o każdą piłkę. Zespół od dłuższego czasu budowany jest z głową, widać, jak jego gra się poprawia. Czy to samo możemy powiedzieć o męskiej reprezentacji?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 2.04.2025 r.

eprasa.pl 697f4c9371

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Piękny dzień: od rana czwarty raz Sławomir Mentzen podchodzi do mikrofonu (który stoi na mównicy w Wielkopolsce, Małopolsce albo na Podlasiu), mówi dowcip o Ukraińcach (który nie jest dowcipem), daje się poklepać po plecach 11-letniemu uczniowi trzeciej klasy szkoły podstawowej (który kibluje drugi rok z rzędu), dosiada hulajnogi i mknie ku zachodzącemu słońcu na piąty wiec wyborczy.

W połowie drogi wskakuje mu pod koła zając, królik, kot, a może imigrant z Afryki Północnej. Mentzen hamuje tak gwałtownie, że się przewraca i traci przytomność.

• • •

Dochodzi do siebie przywiązany do krzesła. Chce krzyknąć, ale nie może. Jęczy więc tylko, czekając, aż załzawione oczy przywykną do półmroku.

– Czyś ty się dzisiaj umył, Sławek? – słyszy pytanie. Mężczyzna, który je zadaje, najwyraźniej żydłaczy.

Mentzen skwapliwie kiwa głową. Dba o higienę prawie tak samo gorliwie, jak kocha ojczyznę.

– Tam na dole także? – nadal żydłaczy porywacz.

Kandydat Konfy na prezydenta potakuje, ale już nie tak energicznie, czując, że za tym pytaniem coś się kryje.

– Jest nas pięciu – mówi kidnaper. – Wszyscy mieszkamy w Unii Europejskiej, jesteśmy poborcami podatkowymi, Żydami i, co w tych okolicznościach dosyć istotne, gejami.

– To jest tylko czwórka Mentzena – chrypi Mentzen, który z wrażenia odzyskuje głos. – Co z aborcją?

– Z aborcją będziesz musiał poradzić sobie sam, Sławek…

• • •

Nazajutrz na internetowej stronie policji ukazuje się komunikat: „Funkcjonariusze Komendy Głównej Policji poszukują świadków uprowadzenia i wielokrotnego zgwałcenia zbiorowego dokonanego na 39-letnim Sławomirze M. Z dotychczasowych ustaleń wynika, że do popełnienia przestępstwa doszło wczoraj w godzinach późnopopołudniowych i wieczornych w Wielkopolsce, Małopolsce albo na Podlasiu. Sprawcami są prawdopodobnie mężczyźni rasy białej w liczbie od trzech do siedmiu, w wieku od 16 do 56 lat. Poszukuje się osób, które widziały przedmiotowe zdarzenia, a w szczególności momenty porwania pokrzywdzonego i gwałtu na nim. Osoby posiadające wiedzę w tym zakresie proszone są o kontakt telefoniczny lub osobisty".

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN z sukcesem złożyła podpisy. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** świętuje.

Senyszyn: – Co świętujesz?

Wołk-Łaniewska: – No jak to co? Twoją rejestrację.

– I słusznie. W końcu nie po to do czwartej nad ranem liczyłyśmy podpisy, żeby teraz nie świętować…

– Przy tej okazji mam do ciebie prośbę…

– Proś, a będzie ci dane. Albo i nie.

– Otóż widziałam ostatnio taki obrazek z Nawrockim. Na spotkaniu w Sosnowcu dziennikarz, co mu zadawał pytanie, przedstawił się, że jest z Telewizji Republika, a tłum eksplodował oklaskami i okrzykami: „Brawo! Brawo! Re-pu-bli-ka!". Czy możemy zrobić tak, że ty zrobisz konferencję, ja cię o coś zapytam, a lud zacznie mi bić brawo?

– Brawo owszem, ale co ma skandować? „Nie, Nie, Nie"? To nie zabrzmi najlepiej…

– Widzisz? Tak to gasisz moje marzenia. A skoro już mowa o tłumie – choć malutkim – to wspomnijmy ostatniego Łyszczyńskiego.

– Dla niewtajemniczonych: chodzi o rekonstrukcję ścięcia jednego z największych polskich myślicieli, ateisty Kazimierza Łyszczyńskiego, zamordowanego w ramach zbrodni sądowej 30 marca 1689 r. za napisanie dzieła „De non existentia Dei". Większość ludzi do dziś nie dorosła do jego odkrywczych myśli.

– Rekonstrukcja odbyła się jak co roku na rynku Starego Miasta i zgromadziła niewielką rzeszę widzów. I ja się zgadzam z prof. Hartmanem, że to znak zmiany na lepsze… Bo naprawdę myślę, że już wygraliśmy. Są jeszcze jakieś przyczółki do zdobycia: aborcja, religia w szkołach, Fundusz Kościelny, art. 196 Kodeksu karnego – ale jesteśmy już w roku 1945, idziemy na Kołobrzeg…

– Nie podzielam twojego szalonego optymizmu. Wymieniłaś raczej słupy milowe niż przyczółki, więc długa jest droga do Tipperary. Ale jeśli chodzi o kalendarz, możesz mieć trochę racji: jesteśmy w głębokim stalinizmie. Fundusz Kościelny, zakaz aborcji, religia w szkołach – to relikty lat 50. XX w.

– A zmieniając temat: co sądzisz o Marine Le Pen?

– Z grubsza to samo co o Nawrockim i Mentzenie.

– Nie pytałam o osobowość, tylko o sytuację. Ja mam wybitnie mieszane uczucia. Naprawdę nie jest mi ideowo blisko do francuskich faszystów, ale wykluczenie liderki sondaży z kandydowania wydaje mi się jako żywo nie do końca zgodne z duchem demokracji. A poza tym – czy naprawdę nikt inny w PE nie zatrudniał swoich asystentów do pracy partyjnej? Jakoś mi się nie chce w to wierzyć…

– I słusznie, bo zatrudniali, zatrudniają i zatrudniać będą. A praca dla europosła czy posła jest w znacznej mierze partyjna, bo przecież służy – przynajmniej w teorii – realizacji programu obiecywanego w kampanii wyborczej.

– W brytyjskim „The Spectator" przeczytałam ciekawy komentarz na ten temat: „Zasada, na podstawie której Le Pen została skazana, jest nie tylko mętna. Jest to celowa, instytucjonalna hipokryzja. Asystenci w PE są formalnie uważani za pracowników parlamentu, a nie parlamentarzystów. Teoretycznie nie wolno im pracować przy sprawach partii krajowych czy kampaniach. W praktyce to żart". I jeszcze autor zauważa – moim zdaniem trafnie – że ta przesycona hipokryzją zasada egzekwowana jest tylko wtedy, gdy jest to „politycznie użyteczne".

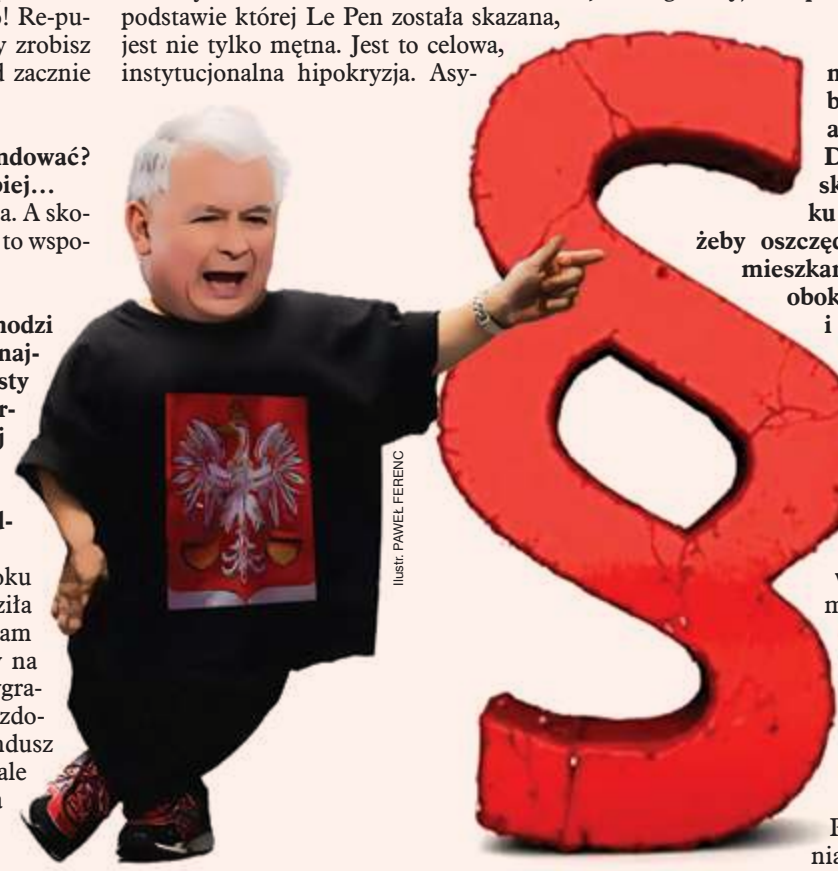

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– W tym przypadku chodzi o coś więcej niż tylko polityczne zadania dla asystentów poselskich: o fikcyjne zatrudnianie partyjnych funkcjonariuszy i tym sposobem nielegalne finansowanie partii. A jeszcze gorzej, jeśli pod pozorem zatrudnienia asystenta są finansowane różne prywatne prace. Tak było z np. z Grzegorzem W., który pracował w gospodarstwie rolnym posła PiS, a pensję płacił mu Parlament Europejski jako rzekomemu asystentowi Ryszarda Czarneckiego i Kosmy Złotowskiego. W ten sposób pisowski poseł-rolnik miał darmowego robotnika. Z kolei w 2020 r. Sasin zatrudnił w swoim ministerstwie makijażystkę za 10 tys. zł i tłumaczył, że to ze względów bezpieczeństwa. Może i prawda, bo przecież wyglądu mu nie poprawiła.

– A tu się nie zgodzę. W realu Sasin jest dziobaty jak Stalin, a na oficjalnych zdjęciach ma buźkę gładką jak dupcia niemowlęcia.

– Też jak Stalin. Nawiasem mówiąc, fikcyjne etaty to nie był nawet najgrubszy numer autorstwa polskich europosłów. Do dziś po Brukseli krąży miejską legenda, jak to w 2004 r. kilku wybrańców narodu polskiego, żeby oszczędzić na hotelu lub wynajmie mieszkania, postawiło na parkingu obok PE przyczepę kempingową i tak wspólnie przemieszkali kilka miesięcy, póki ich policja nie przegoniła. Rano szli do swoich biur, gdzie jest łazienka z prysznicem, dokonywali ablucji i liczyli oszczędzoną kasę.

– Bardzo ekonomicznie. I na koniec – bo skoro już się wdałam w obronę faszystki, to mogę też w obronę mordercy: cała awantura wokół wypuszczenia z więzienia Ryszarda Cyby wydaje mi się kompletnie obrzydliwa. Człowiek wykazuje „otępienie w stopniu głębokim" oraz „brak kontaktu z rzeczywistością", a posłowie PiS dostają orgazmu z oburzenia, prawie takiego jak po śmierci Barbary Skrzypek. Jarosław Kaczyński ogłosił po chojracku, że „koledzy uwalniają kolegów", ale on się nie przestraszy.

– Zwróć uwagę, że w tej materii PiS ma rozdwojenie jaźni. Nie podoba im się rzekome „uwalnianie kolegów", ale już koleżankę Annę W. chcieliby uwolnić i nawet się tego domagają, bo ma dziecko w spektrum autyzmu i z ADHD, które źle znosi nieobecność mamy – byłej szefowej biura Morawieckiego, zamieszanej w sprawę RARS. W początkach PRL działanie pod wpływem alkoholu było okolicznością łagodzącą. PiS chciałoby, żeby było nią też posiadanie chorego dziecka, ale już choroba własna niekoniecznie.

– Ja akurat uważam, że w tej sprawie Polska Ludowa miała rację. W końcu każdy Polak wie, że „nie takeśmy numery ze szwagrem po pijaku…" i nie można za to odpowiadać jak za prawdziwe celowe przestępstwo.

– Poseł Szejna najwyraźniej ma ten element Peerelu w genach, skoro sądzi, że „choroba alkoholowa" powinna dawać mu immunitet na rozmaite wybryki.

– À propos wybryków: oglądałaś sejm w środę rano?

– Nie, szczęśliwie byłam w drodze do Warszawy. Ale słyszałam, że Giertych kazał Kaczyńskiemu mówić sobie „wuju".

– Bo ponoć genetycy stwierdzili, że Giertych jest dalekim powinowatym Kaczyńskiego, tylko z pokolenia wyżej. W ramach wymiany uprzejmości Kaczyński nazwał go głównym sadystą i jeszcze powiedział, że Ministerstwo Sprawiedliwości znęca się nad urzędniczkami od Ziobry „w sposób wyjątkowo ohydny, taki można powiedzieć urbanowski". I tutaj chciałam zaprotestować: Jerzy Urban nigdy nikogo nie zakuwał w kajdanki, a już zwłaszcza zespolone. To byłoby wybitnie nieuprzejme, a poza tym musiałby się schylić. Myślisz, że mecenas Giertych, który będzie ścigał Kaczyńskiego za nazwanie go „sadystą", mógłby przy okazji wystąpić w obronie dobrego imienia Urbana?

– Mógłby. Ale wątpię, żeby chciał.

– Ale przecież prawda jest najważniejsza!

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 697f4c9371